№ 23 Warszawa, dnia 26 Maja (7 Czerwca) 1879 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

w literaturze i społeczności naszéj.

Przypadający w roku bieżącym jubileusz zasłużonego naszego Kraszewskiego, który tak żywo poruszył sobą serce i ducha ogółu, wielce jest pięknem zjawiskiem moralnem: świadczy ono bowiem, że oceniono należycie długi, bo półwiekowy zawód tego męża, jako pisarza i obywatela. Kiedy więc kraj krząta się nad tem, aby uwić swemu ulubieńcowi wieniec z lauru i dębiny, bardzo stosowną byłoby rzeczą, aby pisarze postarali się skreślić obraz zawodu literackiego jubilata, wskazując nam na to w jakich warunkach działania wystąpił Kraszewski, co pisał, do czego dążył w swoich dziełach, i jaki rezultat prac jego widzimy dziś, po pięćdziesięciu leciech jego autorskiego zawodu. Nie dość jest powtarzać, że Kraszewski pisał wiele, że pracował w wielu gałęziach piśmiennictwa, dziś kiedy stanął już u mety, kiedy półwiekowy jego zawód pisarski, daje się już objąć jednym rzutem oka, pora już wreszcie wypowiedzieć, czem był dla nas ten mąż, którego kraj cały obchodzi pięćdziesięcioletnią rocznicę pisarskiego zawodu. Zapewne, że im daléj staniemy, tem zasługa Kraszewskiego będzie widniejszą dla oka, że należyte ocenienie zasług jego w przyszłości dopiero da się dokonać, ale już i w chwili obecnéj wzniósł się on tak wysoko, że zasługi jego nietylko krajowi, ale i Słowiańszczyźnie są widoczne. Tam, w Pradze, już wyprzedzono nas w oddaniu czci ziomkowi naszemu. Na pierwszy rzut oka można byłoby powiedzieć o Kraszewskim to, co Ś. Paweł wyrzekł był o sobie, zwracając się do innych głosicieli słowa bożego: ja jeden więcéj zrobiłem w téj świętéj sprawie od was wszystkich! I rzeczywiście, któż tyle co Kraszewski obudził nas z uśpienia moralno-umysłowego ducha ogółu, zachęcił go do pracy przykładem własnym, kto tyle co on przyczynił się do podniesienia siły ducha i moralności w pokoleniach młodszych, budząc w sercach tych pokoleń poczucie tego wszystkiego co piękne i zacne? Kto tyle co on zachęcał do pracy jeżeli nie dla ogółu, to do równie ważnéj, daleko ważniejszéj nawet może, bo do pracy nad sobą, a taka praca tworzy sama jedna tylko ogół myślący. Kto się bierze do pracy o Kraszewskim, ten powinien koniecznie uwydatnić stan umysłowo moralny społeczności w czasie wystąpienia na widownię naszego jubilata i czas obecny, kiedy on przygarbiony pracą, wiekiem i chorobą, stoi przed nami po pięćdziesiąt letnim zawodzie trudów ustawicznych. Z myślą o trudzie, przez pół wieku, wstawał on i zasypiał; godłem jego, które niejednokrotnie wypisał na swoich dziełach było: *nulla dies sine linea*, co można byłoby wytłomaczyć, „*ani dnia jednego bez pożytku dla was!*“ Całe życie swoje, całego siebie. oddał dla nas na ofiarę. Niezawsze umiano go ocenić, nieraz napawano go żółcią, karmiono szyderstwem, a on szedł zawsze naprzód; nie patrząc po za siebie, poglądając zawsze w przyszłość, zdążając do wytkniętego raz sobie celu życia, i oto już staje u mety. Czyż nie pora, aby ta społeczność, dla któréj żył *pół wieku* duchem, którą kochał, kształcił, uczył, którą pięćdziesiąt lat zachwycał płodami swojéj twórczéj fantazyi, karmił ją nieraz jak pelikan swoje dzieci, krwią własnéj piersi, aby, mówię społeczność, z któréj wyszedł, z którą żył życiem jednem, którą wcielił w niepożyte czasem dzieła sztuki, którą uwiecznił, poznała się na jego zasłudze, ujrzała w nim przedstawiciela swojego czasu, krew krwi i kość kości swojéj, uczciła go należycie w jego latach sędziwych jawnym objawem wdzięczności zbiorowéj, uwieńczyła go w obliczu Europy, a obok z wieńcami chwały, które włoży na jego głowę myślącą, zapewniła mu po staremu, chleb wysłużony zacnie, *panem bene merentium!* Z tego co czytamy w pismach czasowych, mamy niemylną otuchę, że stanie się tak. Wydanie dzieł jubileuszowe, świadczy o jego zasłudze przed społecznością, która odezwała się sympatycznie i czynnie na wystawienie mu tego pomnika. pisarze i artyści biegną doń z upominkami miłości swojéj, a nasze kobiety, których on był ulubionym pisarzem, krzątają się zawdzięczyć mu upominkami jego niezmordowaną pracę, za te dzieła, wywołujące nieraz na ich oczy łzy rozrzewnienia, które nieraz były może dla nich łzami odrodzenia się moralnego, stając się bodźcem do cnoty i poczucia obowiązków własnych! Któż bowiem więcéj od Kraszewskiego zasilał je więcéj karmią moralną i budził w nich sympatyą do tego wszystkiego co piękne, czyste i wzniosłe! Kiedyś wzniosą mu zapewne pomnik, nim to jednakże nastąpi, niechaj wdzięczne serca rodaków nakarmią go posiłkiem duszy i ciała, chlebem powszednim. Jakże słodkim będzie mu ten chleb, wyrosły na niwie przez niego samego niejako uprawnéj, bo na niwie wdzięcznego serca tych ludzi, których zasilał statecznie życiem moralnem, szczepiąc w nich sympatyą do tego wszystkiego co zacne i piękne. Któż z nas może powiedzieć, że nie winien jest wiele i bardzo wiele jego dziełom? Wszak on nas wszystkich wychował i pisarzy i czytelników. Niech tych kilka wyrazów serdecznych pozostaną tu wyrazem mojéj osobistéj dla niego miłości i wdzięczności jako mistrzowi i starszemu bratu! O! my nie możemy nie kochać Kraszewskiego, bo on sam nas ukochał gorąco, poświęcając nam, z największem zaparciem; swoje zdrowie, całą swoją istotę, on żył dla nas tylko. Sława jego nie przyszła mu łatwo, jak każdy mąż wielki okupił ją krwią, znojem, zdrowiem, wyrzeczeniem się tego wszystkiego wreszcie co nęci tyle do siebie ludzi zwyczajnego polotu.

Kraszewski, co tyle poruszył myśli, tyle wydał z siebie postaci, tyle objawił w sobie znajomości ludzi, musiał był koniecznie ziarno tego wszystkiego wynieść ze świata rzeczywistego w którym żył, którego materyał zasilał jego wyobraźnię, a która go przetwarzała. Kraszewski, z którego dzieł dałaby się utworzyć cała biblioteka, nie napisał przecież swoich Pamiętników, wiemy to z własnych słów jego, z *Listu do nieznajomego*, umieszczonego w Kłosach (1878 r.), a szkoda: jego autobiografia bowiem byłaby wielce ciekawym komentarzem dla studyów krytycznych nad jego dziełami i tłomaczyłaby nam wymownie historyą jego zawodu pisarskiego. Nie miał czasu na to, jak powiada. Ale doświadczenie osobiste, wypadki które go napotykały w życiu nie przepadły zupełnie; umiał z nich korzystać, tak np. jak korzystał z wypadków swojego życia Goëthe, tylko że korzystał z nich spokojniéj, objektywniéj od naszego pisarza. Ale i u Kraszewskiego w jego dziełach, widać to zaraz, wszystko jest przeżyte, odczute, wszystko jest żywe. Jest to właśnie cechą dzieł Kraszewskiego, że w nich najdrobniejsze szczegóły są żywemi cząstkami, jak klateczki tkanki ciała ludzkiego, które będąc żywemi całostkami, budują żywy organizm ludzki. W tem jest może cała tajemnica tego zajęcia się z jakiem czytają się utwory naszego powieściopisarza. Tu wszystko jest prawdziwe, wierne przyrodzeniu, wierne duchowi. Tu skupia się cała esencya, cała mądrość ukryta naszego życia, jako wynik codziennego doświadczenia i myśli twórczéj pisarza. Czasami czuje się wyraźnie, że Kraszewski opisuje samego siebie, swoje własne przeżyte koleje życia, swoje bóle, sny i zawody. Do takich dzieł należą: *Poeta i świat*, *Pamiętniki nieznajomego* i *Powieść bez tytułu*, trylogia opisująca coraz dosadniéj młodość poety i stosunek jego do otaczającego pisarza świata. Wiele korespondencyi do pism publicznych, osobliwie do Tygodnika petersburskiego, w których swobodnie wylewała się młoda dusza poczynającego swój zawód autorski pisarza, dusza potrzebująca się wylać na zewnątrz, potrzebująca zwierzyć się komuś ze swą troską i zawodem, chociażby przed tą publicznością, z którą się spokrewnił, związał tysiącznemi węzłami sympatyi, mogą posłużyć dla nas za materyał biograficzny Kraszewskiego, z którego téż w swojem miejscu nie zaniedbamy skorzystać. Najwięcéj materyału dostarczy kiedyś do biografii naszego pisarza jego bogata korespondencya, korespondencya pół wiekowa w któréj, wiele złożył myśli, uczuć, zwierzeń, a nieraz i skarg na obojętność i nieinteligentność ogółu. We wspomnianych wyżéj *Listach do nieznajomego*, ogłoszonych w Kłosach, wspomina też wyraźnie o swojej korespondencyi, która objaśni kiedyś społeczności jego zawód pisarski i stosunek pisarza do społeczności z któréj wyszedł i dla któréj pracował. Taka tylko biografia, jako żywy nerw istnienia pisarza może mieć znaczenie historyczne.

Kiedy będziemy mówić tu o pracach Kraszewskiego, uprzedzamy o tem z góry, że nie myślimy poddawać ich wszystkich szczegółowemu rozbiorowi krytycznemu, na to bowiem potrzebaby było napisać chyba kilka tomów; poprzestaniemy więc na krótkim ich przeglądzie, zwracając więcéj uwagę naszą na sam rozwój pisarski autora i na stosunek jego do społeczności i rozwoju naszego piśmiennictwa, tudzież sama osobistość, charakter Kraszewskiego.

Okres czasu, w którym wystąpił na pole piśmiennictwa Józef Kraszewski i tak potężnie ożywił je duchem swoim, będzie nosił, kiedyś, w dziejach literatury naszéj, nazwę okresu Kraszewskiego. Nie wszyscy może teraz zgodzą się na to, ale tak być musi, u światła bowiem myśli jego zapalił się ten promyk oświaty współczesnéj, a osobliwie tego rozmiłowania się w literaturze swojskiéj, jakiem on natchnął współczesne sobie pokolenie, dając mu poznać konieczność i godność pracy umysłowéj. Jeżeli piśmiennictwo nasze ma w dziejach swoich okres Czackiego, to tembardziéj imię Kraszewskiego uzacnić powinno ostatni peryod oświaty naszego kraju, jest to bowiem okres: w którym imię tego zasłużonego męża daje się napotykać wszędzie na czele każdéj dążności duchowéj, dążącéj do rozwoju myśli i serca. Życie jego było poświęcone temu zacnemu działaniu: chciał działać, wiedział do czego dążył, umiał działać, nie zrażał się żadnemi przeciwnościami, bo czuł w sobie siły do działania, a głównie miał wiarę w siebie i w swoje posłannictwo.

Józef Ignacy Kraszewski urodził się 26 lipca 1812 roku, w Warszawie, z Jana i z Zofii z Malskich Kraszewskich. Świadczą o téj dacie akta kościoła Ś-go Krzyża. Fakt ten podał H. Skimborowicz w Przeglądzie naukowym z 1843 roku. Urodził się nasz autor w Warszawie dlatego, że do tego miasta schronili się rodzice jego z grodzieńskiéj gubernii, gdzie mieli posiadłość ziemską, przed najściem Francuzów. Na wsi mieszkali oni w okolicy Prózany. Po ustaniu wojny powrócili do swojéj wioski Romanowa. Ten Romanów, w pamięci Kraszewskiego wyglądał jakby raj jaki. I nie dziw, bo spędził tu dzieciństwo swoje pod opieką kochających go namiętnie dwóch istot, babki i prababki. W obrazach jakie kreślił potem w swoich powieściach, nieraz odtwarzał te postacie ukochane swoich piastunek: prababki Konstancyi Nowomiejskiéj i babki Malskiéj. W jednem dziele wspomina dom i stary ogród ze świerkami, w którym zbiegły mu uroczo złote czasy dzieciństwa; nieraz w snach jego, powiada, stawały mu przed oczami schylone nad kolebką jego postacie niewieście, z włosem ubielonym wiekiem, schylające się nad nim z uśmiechem miłości pełnym. Postacie te dwóch świętych matron były jego aniołami stróżami w późniejszem życiu. Były to jego wzory. We wszystkich dziełach Kraszewskiego znać żywy, gorący ślad tego wychowania kobiecego. Ono tchnęło weń tę żywą miłość do piękna i sztuki, do uczuć poczciwych, których nic potem w życiu zatrzéć nie było w stanie. Cele szlachetne życia, tęsknota do ideału, pociągały go zawsze ku sobie, bo one jedne tylko są w stanie podnieść i uzacnić cały powszedni żywot człowieka. Jakże serdecznie wspomina on Romanów w swojem dziele *Wspomnienia z życia i podróży* (Wilno 1842). Chcąc zrozumiéć i wystawić charakter naszego autora, potrzeba koniecznie odczytać to miejsce. „O! wesołym wstępem do życia, powiada Krasz. był dla mnie Romanów; był to brzeg czary gorzkiéj, którą Bóg słodyczą zaprawił, abym długo wspominał, długo płakał lat moich dziecięcych.“ „Ileż to razy, mówi daléj, w usta moich bohaterów powieści kładłem żal lat dziecięcych, który z mego serca płynął; sądziłem, przypisując go innym, że każdy, każdy musi żałować młodości, ile razy ją przypomni, bo jéj nic nie zastąpi, bo tak okropnie, tak na wieki dla nas umarła! Lata pobytu w Romanowie były bardzo szczęśliwemi. Dnie mi zajmowała nauka, wcale nie ciężka, wesołe zabawy, przechadzki po romanowskim ogrodzie, przechadzki w ciągu których poglądając po starych drzewach, po cienistych zakątkach, uczyłem się marzyć i domyślać mglistéj jakiejś przeszłości zdając się ją tylko przypominać sobie.“ Wieś i samotność namaściły Kraszewskiego na poetę. „Już ciebie nie ma, mówi w innem miejscu, droga moja przybrana matko! (prababka), na któréj kolanach nauczyłem się czytać, myśléć i modlić się! Już ciebie nie ma, aniele święty, a Romanów opustoszał!“ Daléj mówi: „pamiętam jeszcze dziadka naszego, chodzącego w bajowéj czujce około gospodarstwa i ogrodu; pamiętam jeszcze prababkę, którą wtenczas *białą babunią* zwałem... Pamiętam, o! pamiętam wszystko i naukę czytania na kalendarzu i wieczorne zabawy i cacka dziecinne i wszystkie nauki twoje, biedna prababko!“ „I nigdy nie wróci ta przeszłość, nigdy nie wrócą ci ludzie, tamte czasy, nigdzie już nie znajdę Romanowa, nigdzie!“ Otoczenie Krasz. w Romanowie było dobre, czytano tu i rozmawiano o książkach i to wywierało żywy wpływ na umysł dziecięcy. Tak opowiada o tem Kr. „Od dzieciństwa nie wiem jaki szał wrzał w mojéj głowie; nie uwierzycie mi gdy powiem, żem wprzódy pisać zaczął, nim pisać umiałem, ale to pewna żem drukowanemi literami składał już powieści i wiersze. Przyszłość moja objawiała się wyraziście; lecz prócz dobrych babek, reszta familii nielitościwie szydziła z tych moich wysileń. Nietyle mnie zajmowała nauka sama, która mi się, przyznam, dość nudnie wydawała; nie byłem bardzo pilny, nie miałem pamięci do słów i formuł, ale po lekcyi kradłem książki, ażeby je czytać. Pamiętam dobrze, jak jeszcze małem chłopięciem drżałem ze strachu, czytając romans pani Radcliff na ganku ogrodowym, gdzie żywéj duszy nie było i smutno tylko jodły szumiały. Byłem tak wkrótce przejęty, żem musiał uciec do pokojów. Nie miałem innych nauczycieli w początku nad drogie moje babki, aż do lat w których do szkół mnie oddano. Pieszczonem dziecięciem biegałem wesół (w Romanowie) tak przywykły do szczęścia, żem bardzo długo nie pojmował śmierci, a kiedy mnie o niéj mówiono, najmocniéj w nią nie wierzyłem. Późniejsze lata życia już się zatarły w pamięci; nie wiem dlaczego te pierwsze tak żywo jeszcze przytomne, jak gdybym wczoraj jeszcze z niemi się rozbratał? Każdy szum drzew przypomina mi romanowskie jodły, każdy klekocący bocian, tamtejszych bocianów. I myślę patrząc na lecącego: może on rodem ztamtąd!

(d. c. n).

Pożegnanie.

Po młodéj artystki Anieli Wisłockiéj.

SONET.

Hasło rozstania wnet zegar uderzy,
Czegóż ci życzyć w téj smętnéj godzinie,
Mam ci powiedzić: „wnet twe życie spłynie
Jak cichy strumyk po murawie bieży,
Niechże na gładkiéj dni Twoich dolinie,
Co dnia słoneczko rozwija kwiat świeży!“
Ah! kto widnokrąg objął wzrokiem szerzéj,
Wie że bez burzy dni pasmo nie minie.

Czcze złudy ziemi Ciebie nie pochwycą.
Wpowietrzne szlaki leć rączemi pióry!
Niech Cię nie trwoży piorun z błyskawicą,
Nie wstrzyma w locie kłąb gradowej chmury,
W oblicze słońca patrz młoda orlico,
Ah! uderz w skrzydła, do góry, do góry!

DO H... R...

odjeżdżającéj z Paryża.

Sonet.

Jak zorza co jasny zwiastuje nam dzionek,
Gdy rankiem przez szyby zagląda w okienko,

Do mojéj pustelni zajrzałaś Helenko,
I zbiegłaś jak z miedzy ulata skowronek.

Ubiegłaś z wesołą na ustach piosenką,
Twój głosik mi jeszcze brzmi w duszy jak dzwonek
I wietrzyk mi Twoją szeleści sukienką,
I widzę twe lica z pod mglistych osłonek.

Powracasz do domu swobodna szczebiotko,
Wśród miléj rodziny, tak dobrze, tak słodko,
Tak błogo się skąpać w ojczystych ziół woni,
Skosztować owocu u swojskich jabłoni,
O! niechże wesołą pożegnam cię zwrotką,
Choć oko tajemnie łzę może uroni,

S. Ż. D.

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Gdy o pieniądzach czytano, uśmiechała się staruszka z wielkiém zadowoleniem, czując się na siłach zadość uczynieniu temu proroctwu. Pan Salezy także uśmiechał się jakby z staruszką był pod tym względem w porozumieniu. Uśmiechnęła się także Eliza i Hrabia jéj przy tem wtórował, bo zestawienie szczęścia z pieniędzmi działało jakoś rozkosznie na serca wszystkich. Flaminia tylko nie uśmiechała się i wyglądała jakby o czemś innem myślała, a Maryan pocierał tymczasem ręką po czole, jakby ztamtąd chciał coś koniecznie zetrzéć...

Z tem wszystkiem jednak wesoło było polskiéj kolonii a gdy do tego usłyszano z tarasu chór złożony ze stu głosów, który bogatym jakimś anglikom podczas obiadu przyśpiewywał, zdawało się wszystkim że słyszą kolendę i widzą owych biednych bosych kolendników polskich, którzy Narodzenie Bogaświatu objawiają...

Sprawiło to na wszystkich bardzo głębokie wrażenie. Długie milczenie zapanowało a nawet włoski hrabia musiał rad nie rad dostroić się do tonu powszechnego.

I niejedna myśl wymknęła się śród tego milczenia do kraju, myślano o tych i owych, którzy tam zostali i którzy wieczór ten uroczysty w równy sposób obchodzą...

Maryan myślał w téj chwili o zacnym panu Krzysztofie, który z poświęcenia dla przyjaciela wieczór ten sam jeden prawdopodobnie obchodzi a może przepędza go właśnie w gorzelni pilnując mienia swego przyjaciela...

Myśl ta rozrzewniła Maryana i już chciał w obec a osobliwie w obec Elizy wychwalać poświęcenie się i zacność swego przyjaciela, gdy nagle jasna jakaś łuna błysnęła w okna.

Maryan pospieszył do okna.

Czarujący widok roztaczał się teraz przed nim. Na środku wód jakby z głębi fal tryskała do góry fontana, z płomieni.

Ognisty wodotrysk tworzył dziwne, fantastyczne linie. Z małą pomocą wyobraźni można było z nich ułożyć jak najpiękniejsze arabeski, kwiaty a nawet różne grupy ludzkich postaci. Widowisko to powtarzało się w wodzie przez odbicie, a lekkie fale przypływającego właśnie morza, łamały ten obraz w tysiącznych odmianach...

Pyszniejszy od samego ognia był obraz utworzony z wód, pałaców i kościołów tym ogniem oświetlony. Wysmukła kopuła kościoła św. Jerzego na wyspie, na drugim cyplu ziemi Marya della Saluta, a w dalszéj perspektywie na drugiéj wyspie kościół Redautore majaczył fantastyczną swoją kolumnadą i wystającą nad nim dzwonicą... Wszystko to czerwonym oblane strumieniem, w zarysach gubiących się w cieniach nocy, otoczone masztami okrętów przedstawiało widok prawdziwie czarodziejski. I długo byłby się poił tym widokiem Maryan, do niego byliby przyłączyli się wszyscy obecni, gdyby to był tylko fajerwerk...

Był to pożar barki naładowanéj palnym materyałem.

Setki gondoli ruszyły zaraz do pożaru niosąc ratunek, straż pożarna z lokomobilą i sikawkami na łodziach zjawiła się natychmiast na pierwszy sygnał i rozpoczęła dzieło ratunku...

Patrzący z okna mieli teraz przed sobą widok morskiéj bitwy, jakich ongi wiele staczała na tych wodach Wenecka Rzeczpospolita...

Maryan chciał właśnie na ten widok zwrócić uwagę Flaminii i w tym celu od okna się odwrócił, gdy staruszka dała mu znak, aby okno firanką przysłonił.

Niezrozumiał dobrze tego znaku, ale domyślił się go spojrzawszy na Flaminię.

Flaminia stała o stół oparta, jakby chciała zdążyć do okna, a nagle siły straciła. Była cała zmieniona. Tak nie widział jéj Maryan jeszcze nigdy. Zaledwie można było poznać że to żyjąca kobieta a nie posąg. Postać jéj wyprostowała się jakby kurczem jakim w sposób nienaturalny, twarz przybrała pozór nieruchomego marmuru a jedna ręka podniosła się do okna jakby na pożar wskazać chciała. W oczach tylko skupiło się całe życie. Były one duże i pałające jasno, nieruchomie wisiały nad niemi powieki ..

Maryan pośpieszył do niéj.

— Zasłoń pan okno, wołała staruszka z widocznym niepokojem, zasłoń prędko... bo Flaminia tego nie znosi.

Maryan spuścił firankę a sam pospieszył do Flaminii. Była już przy niéj Eliza, przybiegł i hrabia a nawet i pani Apolonia zbliżyła się z wodą... Flaminia była już prawie bez przytomności, tylko szklannem okiem patrzała w okno, za którem gorzał statek na morzu...

Maryan wziął ją za rękę... ręka jéj była jak lód zimna. Nie miała władzy ani elastyczności. Widocznie był to stan kataleptyczny, wywołany widokiem płomieni...

— Najlepiéj będzie nic nie robić, wołała z kanapy zaniepokojona staruszka, jak przyszło tak odejdzie... ja już kilka razy miałam z nią biedę taką. Raz zapalił się dach nad lodownią, to było tak samo. Drugi raz buda w polu zgorzała. Trzeba dobrze okno zasłonić, aby ani szparki nie było. Ona nie może znosić ognia.

Słowa staruszki nie sprawiły na obecnych takiego wrażenia, jakie mogłyby sprawić w innych warunkach. Wszyscy tyle zajęci dziwnym przestrachem Flaminii, ratowali ją jak mogli. Eliza przyniosła jéj jakiegoś mocno woniejącego olejku, Maryan trzymał ją aby nie upadła, a hrabia wpatrywał się tymczasem w posągową piękność kobiety, którą nawet przy żywych wdziękach Elizy dotąd jeszcze zupełnie nie mógł zapomniéć.

Po niejakim czasie zaczęła Flaminia powoli do siebie przychodzić. Jeszcze kilka razy jakiś wewnętrzny bolesny kurcz wstrząsł jéj piersią, a potem zaczęło wracać życie na jéj twarz jak marmur białą.

W téj chwili podniosła się staruszka.

— Niech pan szal na nią zarzuci, rzekła do Maryana odpłyniemy zaraz. Czy jest gondola?

Maryana zadziwił taki niespodziany rozkaz.

— Niech pan dużo nie mówi, odfuknęła szorstko staruszka, gdy Maryan robił jakieś remanstracye, ja znam Flaminię ona musi natychmiast do domu wracać.

— Czy zagraża co gorszego? zapytała pani Apolonia.

— Albo ja wiem czy zagraża czy nie zagraża, mówiła rubaszna czasem staruszka, ale wiem, że trzeba ją brać natychmiast. Takie wrażenie może ona odchorować, a im prędzéj do łóżka się położy tém lepiéj.

Wszelka opozycya była teraz niemożliwą. Maryan podał szal ciepły, Eliza dodała do niego drugi, wszyscy starali się biednéj Flaminii swoją życzliwość okazać podczas gdy staruszka coraz impetyczniéj do odjazdu ją wzywała.

Wreszcie zeszli wszyscy na dół do bocznego kanału, zkąd ognia nie było widać, staruszka z Flaminią weszła do czarnéj budki i starannie zamknęła drzwi i na okna zasłonę spuściła.

W milczeniu wrócili wszyscy na górę, gdzie pan Salezy niecierpliwie raportu oczekiwał.

— Zdaje się, że już jéj zupełnie dobrze, ozwała się Eliza podczas gdy Maryan zamyślony na fotelu usiadł.

— Jakie to wrażenie może ogień sprawić, rzekła pani Apolonia.

— Są ludzie, którzy ognia nie znoszą, dorzucił hrabia.

— Zawsze musi być jakaś przyczyna, ozwał się pan Salezy.

— W takim razie trzebaby pannę Flaminią lepiéj znać niżeli my ją znamy, odparła pani Apolonia i z pewnem znaczeniem spojrzała na Maryana.

— To prawda, dodała Eliza i zamyśliła się.

Nastąpiło teraz milczenie. Nikt nie mógł czy nie chciał tego milczenia przerwać, a gdy te dosyć długo trwało, wstał hrabia i pożegnał się.

Po wyjściu hrabiego pożegnał także i Maryan wszystkich i wyszedł do swego pokoju.

XIX.

Na drugi dzień, gdy Eliza poszła do Flaminii, która po wczorajszém wrażeniu chora leżała, a Maryan po niespokojnéj nocy na miasto wyszedł aby się trochę rozerwać—zawołał pan Salezy na żonę aby do niego przyszła i ozwał się do niéj z pewną uroczystością:

— Nieraz już zbierałem się z tobą o pewnych rzeczach pomówić. Wczorajszy wypadek znowu mi to na myśl nasunął.

— Zapewne myślisz o Flaminii—wtrąciła pani Apolonia rada, że z mężem rozmówi się o tem, co także i jéj już od dawna na sercu leżało.

— O Flaminii i o Elizie chce pomówić.

Pani Apolonia ciekawie spojrzała na męża. Nie chciała mu niczem przerywać, bo rozmowa taka była dla niéj bardzo ważna.

Nastąpiła krótka pauza.

— Jeżeli się nie mylę, zaczął pan Salezy, ten włoski hrabia ma względem Elizy jakieś zamiary.

— Jest to rzeczą bardzo jasną.

— Eliza jakoś z niczem nam się nie zwierza. Czy mówiła co z tobą?

— Nic nie mówiła. Jest pełnoletnią, widać że chce sama sobą rozrządzić.

— Przecież rodzicom można by coś powiedzieć lub ich o radę zapytać...

— Ma ona własny rozum, o nią wcale się nie boję. Jestem niespokojną o co innego...

— Rozum rozumem, a zresztą kobiety mają rozum, który niezawsze zgadza się ze zwykłym naszym rozumem.

— Cóż chcesz przez to powiedzieć?

— Nikomu nie ubliżam, sądzę tylko że u kobiet w sprawach takich, gdzie o serce chodzi, ten zwykły rozum jest trochę fałszywem światłem zafarbowany.

— U Elizy nie obawiano się tego. Zresztą nie jest panienką ale kobietą doświadczoną.

— U takich kobiet doświadczonych często gra główną rolę ambicya, a w takim razie na tem można wyjść jeszcze gorzéj, niżeli idąc ślepo za uczuciem serca.

— Ona potrafi to razem pogodzić, ufam jéj zupełnie.

— Dałby Bóg, żeby tak było, ale nie zawadzi być ostrożnym.

— W czemże ta ostrożność ma zależyć?

— Trzebaby przedewszystkiem coś pewnego dowiedzieć się o hrabi Stella.

— Cóż chcesz więcéj? Żyje z pierwszemi domami tutejszemi w zażyłości, wszyscy go znają, z wszystkiemi się wita i nikt jeszcze nie zaprzeczył mu tytułu którego używa.

— To prawda... ale nie znamy jego stosunków materyalnych.

— Jeżeli kto ma takie jak on stosunki i bogatych krewnych, jeżeli jak widać z jego rozmowy, z wydatkami na lepsze życie wcale się nie rachuje, ten musi mieć już pewny grunt pod nogami.

— To samo moja droga, możnaby i o nas powiedzieć... ale ja sam wiem najlepiéj, jak rzeczy stoją. Gdyby nie nadzieja, że Maryan może się dobrze ożenić a Eliza świetnie za mąż wyjdzie, nie wiem jakby mi smakowały te wygody, jakich tutaj używam.

— Wspomniałeś o Maryanie...

— Wspomniałem nie bez celu. Spostrzegłem, że Flaminia bardzo mu się podobała. Wczorajsze nawet zdarzenie i dzisiejszy niepokój jego, gdy się dowiedział że Flaminia chora leży, odsłaniają im bardzo wiele. Jeżeli się nie mylę, on myśli na seryo o Flaminii.

— Otóż to mnie najbardziéj niepokoi. Maryan w pewnych swoich postanowieniach był zawsze uparty, obawiam się, że jak zajdzie za daleko, to się wtedy i cofnąć nie zechce.

— O cóż się obawiasz?

— Czy Palczewska w saméj rzeczy zapisze wszystko Flaminii, jak to u nas wtedy mówiła? Jakoś od tego czasu wszystko ucichło.

— Bądź spokojna. Ciągle mam to na oku. Nie pominę żadnéj chwili, aby sondy nie zapuścić. Otóż zdaje mi się że pod tym względem nie ma żadnéj obawy.

— Dla czegóż Palczewska zapisu nie robi?

— Sami popsuliśmy tę sprawę. Staruszka, jak zwykle starzy ludzie, bardzo boi się umierać. Gdy o zapisie z nami mówiła a myśmy formę testamentu jako najodpowiedniejszą zalecali, przestraszyła się staruszka i od téj chwili nie chce o tem mówić. Ale jestem pewny, że to się stanie.

— Czy później nic z nią o tem nie mówiłeś?

— Mówiłem nieraz chociaż samą rzecz z daleka obchodziłem. Z tego, co mi na to odpowiedziała mogę wnosić, że tak będzie, jak wtedy u nas mówiła... Ale chodzi mi o co innego...

— O cóż?

— Czy Eliza nigdy z Flaminią nie rozmawiała o jéj przeszłości, o rodzicach i stosunkach rodzinnych...

Eliza tyle wie co i ja. Wiem że wychowywała się u dalekich ale zacnych krewnych, że rodziców nie ma, ale o nich nigdy nie mówi jakby do tego wiązała się jaka tajemnica. Widocznie unika tego, a jeżeli koniecznie ten temat w rozmowie się nasunie, sprawia to na niéj wrażenie niezwykłe. Być może że to tylko wygórowane przywiązanie dziecinne do tych, którzy dzisiaj są już w grobie. Ona ma tak tkliwe serce i cała jest tak czuła jak mimoza.

— Może ma to jaki powód?

— Jakiż byłby powód? Wczesna strata rodziców, osamotnienie na świecie a po części i ubóstwo po znacznych jak się zdaje dostatkach. Mogę z rzuconych słów Palczewskiéj wnosić że tak było.

— Jakaż może być przyczyna tak nagłego ubóstwa?

— Albożto dzisiaj i wielkie majątki nagle nie upadają?...

Na te słowa nic nie odpowiedział pan Salezy. Chmura na czole okazywała, że ten temat rozmowy sprawiał mu pewną nieprzyjemność. Każdy obraz upadku jest nieprzyjemny a tem więcéj dla człowieka, który patrząc do zwierciadła taki sam obraz tam widzi.

Przerwała te niemiłą chwilę Eliza, która teraz wbiegła do pokoju.

Twarz Elizy wróżyła coś dobrego. Była ożywiona i jakieś przyjemne uczucie malowało się na niéj.

— Zapewnie zdrowa Flaminia, ozwała się pani Apolonia.

— Widać to po twojéj twarzy, dodał pan Salezy.

Eliza ściągnęła brwi.

— Gdzież tam, odpowiedziała, Flaminia leży a nawet zanosi się na jakąś dłuższą chorobę.

— Co mówisz! zawołała pani Apolonia.

— Tak zawyrokował lekarz.

— A miałaś twarz tak wesołą.

— Jestem rzeczywiście weselsza, bo każda przyjemność która spotyka Flaminię, jest również i dla mnie przyjemnością.

— Jakaż przyjemność? zapytali rodzice razem.

Eliza pomyślała chwilkę.

— Jeżeli się jest sierotą, rzekła po chwili, i skazaną na łaskę drugich, to zawsze miło jak słyszyć od nich coś o téj łasce.

— Czy Palczewska mówiła co o testamencie?

— O testamencie nie mówiła, ale powiedziała, że póty nie chciałaby umrzéć, póki losu Flaminii nie ustali. Potem zaczęła ją chwalić czy raczéj oddawać jéj słuszność i dodała w końcu, że będzie to prostą dla niéj nagrodą, jeżeli kiedyś obaczy się w dostatkach, w których rodzice byli, a które się jéj słusznie należą... Palczewska mówiła to do mnie w pewnéj obawie o zdrowie Flaminii, dla której chce być taką dobrodziejką... Wmieszała nawet do rozmowy imię Maryana i mówiła o nim z wielką przychylnością...

— Zacna, poczciwa Palczewska, zawołał pan Salezy.

— Z każdym dniem więcéj mam do niéj sympatyi, wtrąciła pani Apolonia, chociaż czasami jest trochę rubaszna.

— Ja przedewszystkiem cieszę się przyszłym losem Flaminii, bo ją jak siostrę kocham. Dlatego mimo wrażenia jakie na mnie sprawiła jej choroba, na twarzy mojéj malowało się pewne zadowolenie.

— Dlatego nie mogliśmy z początku tego zrozumiéć, gdyż powiedziała, że Flaminia chora.

Do pokoju wpadł teraz Maryan. Był cały czerwony, pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

Gniewném okiem rzucił na siostrę.

— Czekałem na ciebie przy kolumnach na piazzecie, zawołał z pewnym wyrzutem, któráż drogą tu przybyłaś?

— Płynęłam kawałek przez Canal Grande, odpowiedziała Eliza i nieznacznie zarumieniła się.

— Dlaczego najkrótszą drogą do domu nie wracałaś?

— Bo... gondolier nie zrozumiał mnie.

— Jak się ma Flaminia?

— Jest chora... i zapewnie niejakiś czas w łóżku będzie musiała przepędzić.

— Cóż jéj jest?

— Wrażenie wczorajsze czy przestrach...

Na twarzy Maryana malowało się zmartwienie.

— Biedna dziewczyna! zawołał pan Salezy, żal mi jéj serdecznie. Bo to dobroć chodząca. A jakie ma zacne serce, co za zdrowe pojęcie a nawet i nauki sporo...

— W każdym razie, dodała pani Apolonia, szczęśliwy ten, kto będzie umiał jéj serce pozyskać.

— Przeszła nawet dobrą szkołę, ciągnął daléj pan Salezy, bo umiała być ubogą. Już to Palczewska wie, komu swój grosz powierza.

— A przytem pewnie wybierze bezinteresownie, uzupełniła pani Apolonia.

Eliza nic nie mówiła, nic do pochwał swojéj przyjaciółki nie dodawała. Patrzała z boku na Maryana, a na ustach miała uśmiech skończonego dyplomaty.

Maryan prawdopodobnie tych słów nie słyszał. Wiadomość że Flaminia chora z powodu wczorajszego pożaru tak silne sprawiło na nim wrażenie, że jeszcze z tego wrażenia nie mógł przyjść do siebie.

Wszystko złożyło się i to w krótkim czasie na to, aby w sercu jego rozbudzić jak największy niepokój i przez ten niepokój prowadzić go do uczuć coraz silniejszych.

Najprzód stanęła przed nim zmora szczęśliwego rywala, a gdy po kilku przebytych burzach nieco się uspokoił widząc siebie w lepszych warunkach nagle zachmurzył się znowu jego horyzont i nową groził mu burzą. I znowu uderzyło mu serce żywiéj, a za każdem jego uderzeniem pojawiał się przed nim obraz kobiety i głęboko do duszy się wciskał...

Ona chora... serce jego drżało o jéj życie... a o swoją stratę.

— Cóż doktór mówił na tak dziwne wrażenie ognia? zapytał Elizy ojciec.

Zapytanie przywróciło przytomność Maryanowi. Z uwagą spojrzał na siostrę.

— Doktór pytał, mówiła z wolna Eliza, czy Flaminia nie miała jakiego przypadku z ogniem

— Cóż na to Palczewska? szybko zapytał ojciec.

— Mówiła, że będąc dzieckiem przestraszyła się Flaminia ognia.

— Dziwna rzecz, rzekł pan Salezy patrząc z uwagą na syna, dziwna rzecz, dlaczego nazwano ją Flaminią, jeżeli płomienie tak ją przestraszają.

Maryan patrzał na ojca, gdy tenże te słowa wymawiał ale nic mu nie odpowiedział.

. . . .

(*d. c. n.*)

NA WYSPIE.

NOWELLA

Fr. Spielhagena.

przekład z niemieckiego

(Dalszy ciąg).

Gdy Klementyna stała już przed drzwiami gościnnego pokoju, po raz pierwszy przyszło jéj na

myśl że w cztery oczy spotka się z panem von Elze, tego zaś spotkania uniknąć pragnęła, ale na nieszczęście nie posiadała pełnéj pomysłów główki Heddy, sądziła więc że już nie może się cofnąć ani zawrócić, drzwi otworzyła i weszła z bijącem sercem.

Pan von Elze trzymając list w ręku szybkiemi kroki przebiegał pokój, za wejściem Klementyny odwrócił się nagle. Przepraszam panie von Elze, ale kałamarz zamknęłam w biórku! I podczas gdy otwierała do biórka, aby cokolwiek powiedzieć, powodowana przytem prawdziwem współczuciem spytała: Lękam się czy pan nie otrzymał jakich złych wiadomości? To zależy od zapatrywania się, odparł pan von Elze, właśnie dowiaduję się że mój wuj i jego dwaj synowie w przeciągu trzech dni na cholerę pomarli.

— Czy majorat? zawołała Klementyna gdyż znała familijne stosunki pana von Elze. Tak jest, a że nas nie łączyły nigdy serdeczniejsze rodzinne stosunki, więc martwić się nie mam powodu, tem bardziéj że ich śmierć niespodziewana czyni mnie bogatym człowiekiem. W takim razie, chociaż wypadek smutny, lecz nie pocieszać, ale winszować panu należy; i mówiąc to ku drzwiom się zwróciła. Pan von Elze szybko zastąpił jéj drogę i rzekł stłumionym głosem: Wierzaj mi pani że to małe bogactwo byłoby straszną ironią losu, jeżeli nie spełni się to co w moich oczach jedynie wartość nadać mu może! Płomienny rumieniec przebiegł po twarzy Klementyny, a drżała tak silnie że kluczyki, które w ręku trzymała dzwoniły jeden o drugi.

W téj chwili zdawało się panu von Elze że już tryumfować może, wzrok jego pochłaniał tę piękną młodą kobietę, która stała przed nim zarumieniona i drżąca. Za jaką bądź cenę musi być moją! rzekł sobie w duchu ten człowiek bez sumienia.

— Klementyno! rzekł; przysuwając się bliżéj, wiem dobrze że w twoich oczach bogactwo nie ma wartości; ale dla kochającego, jakże słodką jest myśl że bogactwem swojem z ukochaną podzielić się może. Zaklinam panią! opuść człowieka którego nie kochasz, który nie kocha ciebie, a uczyń szczęśliwym tego, którego spokój i przyszłość w twojem leży ręku! Sądziłam, rzekła Klementyna głosem, który coraz mocniejszym i pewniejszym się stawał, że chcesz mnie przeprosić za przykrość wyrządzoną mi ostatniego wieczora, lecz widzę że zamiast tego obrażasz mnie pan powtórnie, gdyż prawdziwem jest uchybieniem powtarzać to, co za pierwszym razem zaledwo chwilowem zapomnieniem i porywczością wytłomaczyć sobie mogłam.

— Teraz dopiero przekonywam się, że pani zapatruje się na rzeczy z innego zupełnie stanowiska, rzekł pan von Elze prostując się dumnie. Sądziłem że pojęcia pani zanadto są wzniosłe, by ją obrażać mogła szczera miłość mężczyzny, choćby jéj nawet głupi świat nie uświęcał. Wybacz mi pani, od téj chwili nie będziesz już miała przyczyny uskarżać się na mnie.

A wtem przyśpiewując nadeszła Hedda i uchylając drzwi spytała: Klementyno, czy już znalazłaś kałamarz? Znalazłam.

— Może pani zechce być tak łaskawą i wytłomaczy odejście moje przed towarzystwem; w obecnem usposobieniu, wśród wesołych nie umiałbym być wesołym. Czy otrzymałeś pan tak złe wiadomości? zapytała Hedda. Zostawmy pana von Elze samego, rzekła do niéj Klementyna, a odwracając się do porucznika dodała: Gdy się pan uspokoi, mamy nadzieję zobaczyć pana. Pan von Elze skłonił się w milczeniu, Klementyna oparła się na ramieniu Heddy i obie wyszły z pokoju.

— Pan von Elze patrzył za niemi płonącym wzrokiem, ale uśmiech jego był szyderski i zimny. Tym razem chcąc mi się oprzeć, już nawet do niegrzeczności uciec się musiała. To znak doskonały! szeptał do siebie.

— Cóż takiego stało się panu von Elze? pytała Hedda wracając do sali. Klementyna nic jéj nie odpowiedziała.

Rozdział XIX.

Wiadomość o zdarzeniu, które tak pomyślnie wpłynęło na zmianę losu człowieka, mniéj więcéj obchodzącego wszystkich, niemałe zrobiła wrażenie, i przez resztę wieczoru rozmowa tylko koło tego toczyła się przedmiotu, co dla Klementyny wielką było przykrością.

Wkrótce jednak rozchodzić się zaczęto.

Obywatel krewny pana von Elze podążył do mieszkania jego gdzie miał przenocować; płatnik i Gustaw oddalili się aby popłynąć na „Orła“ gdyż wszystkie gościnne pokoje zajęte były. Już od godziny odeszły panie, a panowie siedząc w muszlowym ogródku przy butelce chłodnego starego reńskiego wina, cieszyli się ciepłą księżycową nocą. Nareszcie pan radzca dał hasło do rozejścia. Lecz młody doktór przypomniał sobie swojego chorego i zapytał Pawła, czy towarzyszyć mu nie zechce. Z ochotą odrzekł Paweł i koło domku strażnika poszli ku chatom sterników.

Stary Rickmann mieszkał na samym krańcu wioski, tuż nad brzegiem téj nędznéj, małéj wypalonéj łąki. Przechodzili około mieszkania pana von Elze, świeciło się w pokoju, firanki były zasunięte, ale przez otwarte okna, dolatywały słowa rozmawiających: Ależ Albercie! przy obecnych twoich widokach byłoby to szaleństwem! mówił donośny głos pana von Sanzen. Odpowiedzi porucznika nie było można zrozumieć; potem głośno śmiali się oba.

— Czy myśli pan, że ten człowiek mógłby dopuścić się szaleństwa? zapytał Paweł doktora.

— Sądzę że nigdy ze zbytku wyobraźni lub uczucia, ale chyba z nadmiaru zmysłowości i próżności, odrzekł lekarz. Więc tak go pan oceniasz? Za trzy recepty pierwszego lepszego owczarza, oddam całą moją wiedzę, jeżeli w sądzie o nim się mylę!

— Wszakże poznać go tak miałeś pan mało sposobności? Niech mi pan wierzy że umiejętność nasza doskonali wzrok uczniów swoich i pozwala nam zrozumieć, dostrzedz, wielu rysów i znaków, których wy ani dojrzéć ani zrozumiéć nie możecie. Przyznać muszę że trudno spotkać równie anielskiéj twarzy, jak oblicze pańskiéj kuzynki, lecz równie trudno napotkać tyle przewrotności kryjącéj się pod maską zimnéj grzeczności, jaką zdradza twarz tego człowieka.

— A co powoduje pana, do porównywania kuzynki mojéj z panem von Elze?

— To zapewne że większéj sprzeczności wyobrazić sobie niepodobna odparł lekarz.

Doszli do mieszkania chorego.

— Nie proszę pana byś na mnie poczekał, rzekł lekarz, pijawki przystawić muszę, a operacya ta dość długo potrwa. Jutro rano pożegnam się z panem.

— Z ochotą zaczekam jednak, noc prześliczna, przy blasku księżyca przechadzać się będę a za pół godziny wstąpię po pana.

Lekarz wszedł do małego domku, a Paweł idąc zwolna, przeszedł łąkę, jodłowy lasek, i znalazł się na wydmie piaszczystéj z któréj niedawno zachód słońca podziwiali. Teraz księżyc w pełni, oświetlał krajobraz tak jasno, że światło latarni morskiéj wydawało się bladą gwiazdą. Morze było spokojne, fale lśniły się jak srebrna łuska, u brzegu pluskały cicho, niby jak wpółsenne rozmawiając z sobą. Łagodne i ciepłe powietrze przepełniał aromatyczny zapach jodeł i łączył się ze zdrowem morskiem powietrzem. W obec téj spokojnéj, wspaniałéj natury, pierś Pawła podniosła się rozkoszną radością.

— O potężna matko! pobłogosław twe dziecko! modlił się w duszy. Chciał on powiedzieć twoje dzieci, bo wśród promieni księżyca postać młodéj dziewczyny unosiła się przed nim, i na jéj ukochaną głowę spłynęło błogosławieństwo dla całéj przeznaczone ludzkości. Jakże wyraźnie ją widział! Duże jéj oczy błyszczały, a promienie księżyca igrały na jéj białych ramionach i w splotach jéj ciemnych włosów. I rozmarzony nocy wyszeptał jéj imię, łącząc je z najsłodszemi słowami miłości.

— To miejsce zaklęte! zawołał przerażony tym snem na jawie, który mu wyobraźnia z taką prawdą przedstawiała. Postąpił daléj, wszedł do jodłowéj altanki i rzucił się na jedno z drewnianych krzesełek. Przed nim na stoliku leżała rękawiczka Heddy, któréj szukała dzisiaj. *Hic et ubique*! zawołał powstając, pochwycił tę maleńką rękawiczkę, parę razy do ust przycisnął i starannie ukrył na piersiach. I znowu szedł lasem jodłowym napowrót. Doszedłszy do mieszkania Rickmana spojrzał na zegarek i przekonał się, że zaledwo parę minut ubiegło od chwili rozłączenia z lekarzem; więc udał się w inną stronę aż do przeciwnego wybrzeża u którego teraz stała flotylla baggeru. Tutaj po twardym piasku pomiędzy morzem a wyspą, kroczył szybko, gdy nagle z cienia wysunęła się postać któréj dotąd nie spostrzegł. Spotkanie to było tak niespodziane, że przerażony stanął i *kto idzie!* zawołał głośno. Czy to ty Pawle? zapytał głos Gustawa, myślałem że to kto inny.

— Jakto, ty tu o téj porze! pytał Paweł przystępując bliżéj, czy przybywasz z „Orła“ lub może popłyniesz dopiero?

Gustaw nie odpowiedział; rzucił się na piasek, głowę pochylił w dłonie i westchnął głęboko. Paweł usiadł przy nim i pełen serdecznego współczucia pytał co by mu było?

— I ty się nie domyślasz rzekł stłumionym głosem Gustaw, dlaczego jak przemytnik wałęsam się po nocy?

— Nie, Gustawie, odpowiedział Paweł któremu w tym razie kłamstwo nietylko zdawało się dozwolonem ale koniecznem.

— I ty się nie domyślasz dlaczego tak tu jestem rzadkim gościem w domu a ile razy przybędę to zawsze nie w porę, i jesteście szczęśliwi gdy mnie znowu między wami nie ma?

— Co to to nie, Gustawie, ale przyznaję że dziwiły mnie nieraz twoje rzadkie odwiedziny, twój pospiech by jak najprędzéj wyjechać, i to niewytłomaczone niczem, ponure usposobienie. Już ciebie parę razy prosiłem, byś mi wyjawił przyczynę tego postępowania, nie odkładaj dłużéj i teraz mi je wytłomacz.

Światło księżyca było jasne i Paweł dostrzegł głęboką troskę malującą się na obliczu Gustawa. Wargi mu drżały, słowa wymówić nie mógł; wreszcie dobył głosu a wyrazy zaledwo się przeciskały przez zaciśnięte zęby.

— Widzisz Pawle, gdyby zamiast ciebie był tu przyszedł kto inny, którego spotkać pragnąłem, i obawiałem się zarazem, to w téj chwili na tem miejscu jeden z nas jużby był trupem!

— Szalonym jesteś! zawołał Paweł, słowo nierozważne, które kiedyś żartem powiedziałem miałoby się w tak krwawą prawdę zamienić? Czyż namiętność zamieniać ma rozsądnego człowieka w skrytobójcę i rozbójnika?

— Oho! jakżeś domyślny! rzekł Gustaw, prędko odgadłeś mojego człowieka! Zapewniam cię że o zabójstwie nie ma tu mowy. I podniósł w górę dwa pistolety a lufy ich zabłysły w księżycowem świetle.

— Jeden z nich nabity, grzecznie bym prosił by zechciał wybierać, i byłbym w najzupełniejszem prawie, bo w stosunku obrachowanym na dwoje, trzecia osoba jest zbyteczną.

— Przyznasz że niewiele potrzeba bystrości, by odgadnąć do czego to wszystko zmierza, rzekł spokojnie Paweł. Ty myślisz, że pan von Elze kocha Klementynę; ja tego nie wiem, ale, przypuśćmy, zawsze jednak pozostaje ważne pytanie, czy nawzajem Klementyna go kocha? Jeżeli nie kocha go, to byłoby waryactwem zabijać przeciwnika który właściwie nim nie jest; jeżeli go zaś kocha, czemu nie wierzę, to również byłoby szaleństwem, bo nie myśl że odzyskasz jéj miłość odbierając życie kochankowi.

— Tak tylko zimny rozsądek dowodzić umie, namiętność postępuje inaczéj rzekł Gustaw.

— I cóż my synowie dziewiętnastego stulecia, możemy mieć z namiętnością wspólnego?

— Zapominasz że ja o wiele bliżéj stoję od zeszłego stulecia, rzekł Gustaw z goryczą, to też naiwność moją łatwiéj wybaczyć mi można. Zapewne, przyznaję że bardzo to głupio wygląda, iż mnie człowieka prawie już starego namiętność tak dziecinnym czyni! Ale Pawle, ty nie wiesz tego i nikt także nie wie, jak ja szalenie kocham Klementynę!...

— Jakaż to szkoda że nawet i Klementyna nie wie o tem!... odrzekł Paweł.

— Kocham ją tak, szeptał Gustaw że dla jéj szczęścia każdéj chwili umrzéć jestem gotów!

— Wierzaj mi drogi Gustawie, że w obec przeróżnych trudności jakie napotykamy w życiu, umrzéć dla kogoś jest prawdziwą drobnostką, ale żyć, poświęcić się dla wybranéj istoty, to często o wiele trudniéj i o wiele większą jest zasługą. Jeżeli wszystko inne jest ci obojętnem, dlaczegóż nie żyjesz dla niéj, dla niéj jedynie, dlaczegóż nie wie ona że ty ją kochasz? Jeżeli ów człowiek wydaje ci się niebezpiecznym, dlaczegóż ustępujesz mu z placu?... On przebiegły jest i niesumienny a takiego przeciwnika lekceważyć nie można. Przeciwnie, nie unikaj go, ale twoją prawością zwyciężaj fałsz jego postępowania; zdrowym twym rozsądkiem na każdym kroku zbijaj czczość jego teoryi, a przekonasz się że dla niego większym to będzie postrachem i upokorzeniem, niż gdybyś wśród nocy na pustem wybrzeżu, stanął przed nim z nabitym pistoletem. Czy sądzisz może że obojętność i zimno najlepszemi są środkami do pozyskania serca kobiety?

— Widzisz Pawle, rzekł Gustaw po chwili, ja jestem szczególniejszym człowiekiem, za każdą serdeczność, każde uczucie jakie od ludzi doznaję, przez całe życie wdzięczny im będę, a jednak słowa „dziękuję“ nie jestem w stanie wymówić. To też i o miłość, tak jak wszyscy inni starać się nie umiem i od chwili gdy spostrzegłem że serce Klementyny odwróciło się ode mnie...

— A to od kiedy? przerwał mu Paweł.

— Niedługo po twojem przybyciu. Jedno ulotne słowo z ust twoich, wznieciło myśl która oddawna już w duszy méj kiełkowała.

— Przeklęte słowo! ale mów daléj, rzekł Paweł.

— Od téj chwili stosunek mój z Klementyną coraz stawał się zimniejszy. Nie byłem w stanie dać jéj dowodu najmniejszéj czułości, zdawało mi się że jestem żebrakiem przed drzwiami bogacza, który jego pokornej prośby nie rozumie lub rozumiéć nie chce. A jednak wstyd mi to powiedziéć: co noc prawie, co noc prawie gdyście już wszyscy spali, przypływałem tutaj, dlatego jedynie by się czuć blizko niéj, by czasami choć na firance ujrzéć cień jéj postaci.

— A ludzie twoi na Orle, rzekł Paweł, widzą dobrze gdy wychodzisz i powracasz, i jeżeli między sobą szepczą, że ten do żony tak się zakrada, jak który z nich pod okno narzeczonéj, to naprawdę, jakież mają wyobrażenie o tobie? I gdybyś tak czynił, gdybyś zapukał do jéj okna i jakie czułe słówko powiedział, zapewne byłoby to nader romantyczne, ale stokroć rozsądniejsze od obecnego twego postępowania.

— W téj chwili do żartów nie jestem usposobiony! rzekł Gustaw.

— Przysięgam ci na wszystko że nie żartuję wcale, zawołał Paweł, a jeżeli mówię, że postępujesz bez zastanowienia i zasługujesz na los który gotujesz sobie własną nierozwagą, to bynajmniéj żartem nie jest ale gorzką prawdą tylko. Idź i podziękuj Klementynie że ma jeszcze litość nad tobą i powtarza sobie: on nie wie co czyni! Idź do niéj natychmiast, przeproś za to niezasłużone zaniedbanie, i tę obrażającą oziębłość. Zapewniam cię że ona przebaczy, bo kocha ciebie. pomimo że tak mało na jéj zasługujesz miłość.

— Wiem dobrze, że jéj miłości nie jestem godzien! zrywając się zawołał Gustaw, i to właśnie jest okropnem! Czemże ja jestem w obec niéj? Nie posiadam ani młodości, ani urody, ani wyższego umysłu! a ona jest piękna i młoda a tak wzniosłą ma duszę! O! Boże! Boże! jakże ciężko karzesz moją lekkomyślność, pychę, zaślepienie, przez które to ukochane dziecię wydarłem najlepszemu, najzacniejszemu, bo tylko taki człowiek godzien był być jéj mężem. Ale o zgrozo! pomyśléć że ten gładki pochlebca, ten zimny egoista, ten łotr ugrzeczniony, że on, śmie na nią oczy podnosić! Zaklinam cię powiedz mi Pawle, czy nic nie słyszałeś nigdy, nic nie dostrzegałeś takiego coby tę myśl nasunąć ci mogło: że ten człowiek kocha Klementynę?

— Że on ją kocha? ależ to jedyna dobra strona jaką w nim znajduję, odparł Paweł. Ja także po swojemu kocham Klementynę; każdy człowiek kochać ją musi, bo jest uroczą kobietą, a o ile powabną o tyle cnotliwą. Jeszcze raz powtarzam ci: idź natychmiast i przebłagaj żonę.

— Nie! tego zrobić nie mogę!

— A więc dobranoc, rzekł Paweł, jeżeli chory lekarstwa przyjąć nie chce, to własna jego wina gdy go lekarz odstąpi. Przypomniałem sobie że mam wstąpić po doktora który poszedł odwiedzić młodego Rickmana, dobréj nocy Gustawie.

Paweł odszedł; lecz postąpiwszy parę kroków obrócił się i ujrzał Gustawa z pochyloną głową stojącego na tem samem miejscu. Zawrócił się i wziąwszy go za rękę serdecznym rzekł głosem: Gustawie, bądź rozsądnym, powróć na *Orla* i spać się połóż: nad Klementyną nie potrzebujesz czuwać, gdyż czuwa nad nią tysiące aniołów. Jutro z radzcą masz jechać do miasta, ale jak tylko powrócisz natychmiast przybywaj tu i staraj się naprawić to coś tak popsuł jakby umyślnie. Jako pośrednik wcale ci się nie narzucam, gdyż dla osoby trzeciéj małżeństwo być powinno nietykalną świętością tak w złych jak i w dobrych chwilach, a osoba pośrednicząca choćby najbliższa, ubliża tylko obojgu małżonkom. Czy usłuchasz méj rady?

— Jeżeli tylko w mocy mojéj będzie — usłucham!

— To się rozumie. Lecz nie zapominaj jednak że są rzeczy których nie módz uczynić, znaczy tyle co nie chciéć uczynić. Gustawie, dobréj nocy ci życzę.

— Dobranoc Pawle!

I rozeszli się; Gustaw wsiadł do łodzi i silnem uderzeniem wiosła oddalił się od brzegu.

Paweł przez parę minut stał jeszcze i patrzył się za nim, potem szybko powrócił drogą którą tu przyszedł; we wsi spotkał młodego lekarza.

— Długo czekałem na pana, rzekł tenże, ale wydajesz mi się pan bardzo wzruszonym, czy może widziałeś upiora?

— Upiora?

— Albo inne jakie stworzenie co zamiast spać spokojnie, przy blasku księżyca straszy poczciwych ludzi?

— Rzeczywiście, takiego upiora widziałem.

— A nim jest?

— To moja tajemnica.

— A ja nad nią głowy łamać nie będę, śmiejąc się rzekł młody lekarz; do jutra, dobranoc!

(*d. c. n.*)

Korespondencya z Niemiec.

Srebrne wesele cesarza Franciszka i cesarzowéj Elżbiety. Ogólna nędza i podwyższenie podatków w cesarstwie niemieckiem. Nowa taryfa celna. O wpływie kolei żelaznych na wyludnianie wsi. Ruch wydawniczy w Niemczech. Dzieło Scher'a o ostatniéj wojnie francuzko-niemieckiéj. „Dawne i nowe czasy“ ostatnie dzieło Fryderyka von Weech. „Traktaty dyplomatyczne z czasów rewolucyi francuzkiéj“ p. Hermana Hüffer. „Podróż po Oceanie spokojnym“ Maksa Buchner'a. „Wrażenie z podróży na około świata“ p. kapitana Freiherr. Gustawa Freytag ostatni utwór, p. n. „Les Grandidiers.“ Wilhelma Jensen romans historyczny p. n. „Za tron cesarski.“ Człowiek przedhistoryczny w krajach północnych i w Polsce. P. Starks „Archeologia sztuki.“ Nowy dramat pięcio aktowy Gustawa Pullitz p. n. „Rolf Berndt Sztuczka jednoaktowa Auerbacha p. n. „Szczególniejsza kobieta.“

(Dalszy ciąg).

Dawne i nowe czasy, taki jest tytuł ostatniego dzieła p. Frederyka von Weech, który już napisał kilka książek w tym rodzaju. Są to szkice historyczne różnéj treści, żadnego z sobą nie mające związku. Największy rozdziałów poświęcone jest biografii. Mamy tu życiorysy Karola von Rottek, Karola Mathy, Ludwika Haüser, roberta von Mohl, Edwarda Devrient i, w, i. Podane są ich portrety, już to popiersia już całe postacie. Najwięcéj zajmującą postacią w téj galeryi, jest Maksymilian II król bawarski, który tak długo był znającym się kompetentnym protektorem sztuk i nauk. Znajdujemy tu dwa nader sympatyczne typy kobiece, obiedwie pochodzące z rodu książęcego książąt badeńskich. Jedną z nich jest Margrabina Marja-Wiktorya, córka księcia Leopolda Arenberg, która zajmowała się nader gorliwie nauczaniem dziewcząt z ludu, zakładami dobroczynności i uczynkami miłosiernemi. Druga margrabina Karolina-Ludwika, pierwsza żona Karola-Frederyka, W. księcia Badeńskiego: usposobienie artystyczne i zamiłowanie w literaturze i naukach, wytworzyło z niéj gorliwą opiekunkę nauk i sztuk pięknych. Po dziale biograficznym, następują szkice polityczne: jeden z nich sięga wieków średnich, tytuł: *Król Ludwik bawarski i papież Klemens VII*, jest to dokładny obraz sporu i walki władzy duchownéj z doczesną, wstrząsającéj wówczas światem. Szkic p. n. *Położenie Francyi podczas wejścia sprzymierzonych i Stu dni* przenosi czytelnika w tegocze-

sną epokę. Pełno tu bardzo zajmujących szczegułów. Autor wykazuje jak restauracya Burbonów nabawiła kłopotów mocarstwa, niełudzące się bynajmniéj co do trwałości panowania Ludwika XVIII. Większość dworów uważała iż lepiéj byłoby poprzeć wstąpienie na tron którego z książąt Orleańskich, jako przejście i środek między upadłem cesarstwem a republikanami zagrażającemi że znowu pochwycą ster rządu. Tym sposobem można było uniknąć rewolucyi z 1830 r.

Ciekawy także i bardzo dobrze napisany jest rozdział traktujący o wpływie jaki rewolucya ta wywarła na Niemcy. Autor opowiada jakie zamiary i życzenia wieść o rewolucyi lipcowéj wywołała na dworach Wiednia, Berlina, Sztutgardu i Monachium. Monarchowie i dworacy tem silniejszego doznali wrażenia, że lud roznamiętniał się i zapalał, z gorączkowym niepokojem oczekując wieści z Paryża. Małe państewka wygłaszały nader wojownicze zamiary, a przeciwnie rząd pruski oznajmił głośno: iż zachowa najzupełniejszą neutralność i bynajmniéj nie myśli się mieszać w wewnętrzne sprawy francuzkie.

W Wiedniu, po krótkiem wahaniu, uznano króla Ludwika-Filipa i nowy porządek rzeczy.

W dalszym ciągu publikacyi historycznych, których zbiór zaczął wychodzić w 1868 r. p. Herman Hüffer wydał nową pracę p. n. *Traktaty dyplomatyczne z czasu rewolucyi francuzkiéj.* Autor przejrzał archiwa Berlina, Londynu, Paryża, Wiednia i inne, a poszukiwania te jego nie zostały bezowocne. Nikt dotąd nie odmalował tak wiernie osób, miejsc i okoliczności. Już to wprowadza czytelnika do fortecy Rastadzkiéj i wtajemnicza w monotonne życie téj małéj mieściny, już przedstawia zabiegi dyplomatyczne. Zapoznaje nas z osobami należącemi do kongresu, których większość wydatne w dziejach zajmowała miejsce. Portrety te są trafione, mistrzowską skreślone ręką. Po dziele Hüffer'a, nic już prawie nie zostaje do napisania o kongresie Rasztadzkim.

Ponieważ czytanie podróży jest teraz prawie modą, zalecam szczególniéj lubownikom książkę Maxa Buchner *Podróż po Oceanie spokojnym.* Autor nie idzie utartym obecnie torem i nie przedstawia nam faktów i silnych opisów miejscowości, które można znaleźć w pierwszym lepszym dykcyonarzu, ale opowiada na dawny sposób, kiedy to jeszcze były żaglowce i korsarze. Wprawdzie dziś nader ułatwione i dostępne środki komunikacyjne, odjęły wiele uroku opisom podróży, i nader rzadko przytrafiają się przygody opisywane przez dawnych podróżników jednak że jeżli podróżujący jest człowiekiem rozumnym, ukształconym i obdarzonym darem spostrzegawczym jak pan Max Buchner, potrafi nie udając się do improwizacyi, opowiedzieć prawdę w sposób nader zajmujący. Zbyt krótko bawił on na wyspach Fidżi i na archipelagu, aby mógł dokładnie poznać i zbadać miejscowość, tem więcéj że jako chirurg okrętowy musiał trzymać się oznaczonéj drogi, i że tak p/iwem tylko mimochodem *fotografować* słowami co widział. Mówię fotografować bo niepodobna opisać wierniéj. Czytając te opisy tak pełne życia, tak prędko pochwycone, zdaje nam się że przeglądamy album krajobrazów, naszkicowanych z natury. Okręt którym płynął Buchner, liczył 397 passażerów, Duńczyków, Polaków, Niemców, emigrujących na wyspy Oceanu Spokojnego. Te różnorodne typy, pozwalają autorowi rozwinąć swój talent opisywania, lecz jednak dopiero po przybyciu do wysp Fidżi, Hawajskich i innych nastręcza mu się sposobność ukazania w całéj pełni bogactwa swéj palety. Nasuwają mu się tu postacie przedstawiające wszystkie szczeble drabiny społecznéj, od najdzikszych krajowców do najwięcéj zbytecznych okazów przewrotnéj cywilizacyi, to jest od kanaka złodzieja, kłamcy i pijaka, do białego ktory skutkiem tych samych wad i występków, stał się daleko nikczemniejszym od dzikiego. Zresztą naiwni mieszkańcy tych wysp wszystkich swoje narowy i występki przejęli od Europejczyków, którzy przekazali im wszelkie błędy cywiliyacyi, nie zaszczepiając żadnego z jéj dobrodziejstw, mogącego nagrodzić usterki. Książka Buchnera należy do najlepszych opisów podróży w piśmiennictwie niemieckiem. Już po jéj wydaniu autor wysłany został do wnętrza Afryki, przez „Stowarzyszenie Niemców afrykańskich" można się spodziewać że i tę podróż opisze równie zajmująco i wyda za powrotem.

Równie dobrze przyjęte zostały, podobnie napisane *„Wrażenia z podróży"* przez p. Freiherr, austryackiego kapitana okrętu. Był on dowódzcą korwety *Fryderyk* która odbyła podróż na około świata od roku 1874 do 1876. Freiherr podaje szereg najrozmaitszych obrazów w których wiernie opisuje co widział, urozmaicając swe malownicze opisy spostrzeżeniami i faktami odnoszącemi się do miejscowych zwyczajów i obyczajów ludów i krajów jakie zwiedził. Czytając jego opisy i objaśnienia, można powziąść dokładne wyobrażenie o Jawie, Singapoor, Bornes, Siam, Hong-Kong, Kantonie, Makas, Shang-Haï, Japonii i dwóch jéj stolicach, o Kalifornii, Chili, la Plata i t. d. Choć autor nie stara się o to bynajmniéj, znać jednak w całym ciągu opowiadania iż bada starannie postęp rozwoju pojęć europejskich na dalekim Wschodzie. Największą z zalet téj książki jest przekonanie jakie budzi w czytelniku, że pisał ją człowiek uczciwy i sumienny podający to tylko co sprawdził i widział naocznie. Z *„Wrażeń z podróży na około świata"* p. Freiher, można się wiele dowiedzieć i nauczyć.

Niepodobna pominąć ostatniego utworu znakomitego powieściopisarza niemieckiego pod francuzkim tytułem; *Les Grandidiers.* Gustaw Freytag pierwszy z romansopisarzy niemieckich zapuścił się na pole realizmu; pojawienie się jego *Zoll und haben* przybrało rozmiary jakby ważnego wydarzenia. Niemcy nie mogli wyjść z podziwienia że pisarz podający proste tylko fakta z codziennego życia, mógł pozyskać i zająć tak znaczną liczbę czytelników. Gdy tylko droga ta została utorowaną, rzuciło się na nią mnóstwo pionierów, aby śladem pierwowzoru odtwarzać sceny z życia tegoczesnego mieszczaństwa. Od lat dwudziestu, znaczna liczba młodych pisarzy czerpa z powodzeniem z tego nowego źródła; zarzucono romanse „sensacyjne" podstawiając w ich miejsce zasadzające się na badaniu życia rzeczywistego. Nieskończona różnorodność położenia i stanowisk społecznych została wyczerpująco badaną i rozbieraną, i każdy romansopisarz przedstawiał i dawał nam poznać jakiś kącik świata wśród którego żyjemy, ani się domyślając że umiejącemu weń patrzeć, przedstawia niewyczerpane źródło natchnienia i pomysłów.

Publiczność takich tylko żądała romansów i powieści i cóż dziwnego że wśród bogato ukwieconych roślin pojawiły się trujące chwasty, kąkol obok pszenicy, czyli mowiąc bez przenośni: romanse z tendencyą szkodliwą, skandaliczne i wstrętne, zbyt obnażające nasze nędze i hańby społeczne? Pisarze czujący własną godność i szanujący Czytelników nie zeszli na podobne rozdroża, jako dowód służy ostatni utwór p. Rodenberg, *Les Grandidiers.* W żadnym z poprzedzających utworów, znakomity ten romansopisarz nie zajaśniał taką oryginalnością i werwą. Szczęśliwy wybór przedmiotu, osoby pełne życia i prawdy, nader zręczne połączenie patetyczności i humoru, zapewniają téj książce stałe i zasłużone powodzenie. Intryga i nieprzewidziane wydarzenia nader podrzędną odgrywają tu rolę, ustępując miejsca głębokim poglądom, szczęśliwemu wyborowi charakterów i prawdzie życiowéj tryskającéj z każdego ustępu. Podaję treść w krótkości.

Pewien kapelusznik pochodzący z rodziny protestanckiéj francuzkiéj, która w skutku edyktu Nantejskiego schroniła się do Niemiec, jak większość współziomków jego w temże zostających położeniu przerodził się na Niemca, zachowując jednak rodzinną swoją energję i wytrwałość; syn jego obdarzony, wyższemi zdolnościami i zamiłowany w sztukach pięknych, oficer dziwacznego usposobienia, referendarz patryota i cały szereg podobnych postaci zaczerpniętych z najróżnorodniéjszych typów ludowych, rozmaite zajmujących stanowiska, oraz cała rodzina strasburgska którą klęski wojenne zbliżyły do Grandidiers'ów i paryzka latorośl starego pnia rodziny... oto osoby wchodzące do romansu. Rzecz dzieje się w Berlinie nad brzegami Sprei, a w końcu w Strasburgu, zniszczonym wojną z 1870 roku. Główna osnowa dramatu opiera się na sporach bogatego fabrykanta z synem, który opanowany artystycznemi marzeniami, nie chce ani słyszéć o fabryce i rachunkach. Na szczęście w samą porę przybywa ze Strasburga przyjaciel fabrykanta ze swoją młodą i śliczną córką i przywraca zakłóconą harmonią, ale tu znów staje na przeszkodzie żona owego przyjaciela urodzona w Strasburgu, która choć czysto niemieckiego pochodzenia, fanatycznem przywiązaniem ukochała Francyą, przybraną swoją ojczyznę. Jéj nienawiść do Grandidiers'ów, tych zaprzańców przeniewierzających się swéj francuzkiéj ojczyźnie, dostarcza tragicznego wątku. W końcu jednak daje się przebłagać i rodzina strasburgska przenosi się do Berlina, gdzie zyskuje prawo obywatalstwa. Oto cała osnowa romansu, który, pomimo to żywe budzi zajęcie. Nie ma tu złodziei, fałszerzy, zdrajców ani morderców, nie ma czarnych charakterów, z wyjątkiem bonapartystowskiego agenta. Niedość na tem, nie ma prawie palących scen miłosnych, ale jak wybornie wykończone charaktery, jaka różnorodność i obrobienie szczegółów! Dodajmy do tego niewyczerpany zasób humoru, nie sztucznego i naciąganego, ale naiwnego, szczerego, który tylko zdrowe i ożywiające pozostawia wrażenie.

(d. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

d. 1 czerwca 1879 r.

Wiosna zbliża się już do końca, ale Paryż dotychczas nie wie o niéj: Modniarki w rozpaczy; najwytworniejsze bowiem elegantki, noszą dotąd ciepłe paletoty i aksamitne kapelusze. Widzimy wprawdzie mnóstwo nowości letnich, ale tylko po wystawach magazynów; w ogrodach i na ulicy dopatrzéć ich prawie nie można.

Nigdy jeszcze w formach i rozmiarach kapeluszy nie uważaliśmy takiéj rozmaitości jak w tym roku. Jedne z nich ogromne, z wielkim rondem i szeroką główką, przybrane pękiem piór strósich, przypominają kapelusze z czasów pierwszego cesarstwa; inne

tak znów maleńkie że wcale nie odpowiadają celowi swemu, pokrywając zaledwie sam wierzch głowy. Gdyby nie woal i nie parasolik, gdyby nie puder ryżanny, gdyby nakoniec nie chmura rozpostarta ciągle na słońcu, cera paryżanek mogłaby wiele ucierpiéć pozbawiona wszelkiego osłonięcia.

Niektóre kapelusze podpinają jak dawniéj dyademem z kwiatów, inne znów pozbawione zupełnie téj ozdoby, podszyte jedynie aksamitem lub marszczonym atłasem, nie podgarnirowane nawet ruszką illuzyową; kwiaty, pióra i całe ptaki, mieszczą się wyłącznie po nad rondem. Ten ostatni rodzaj, zaczyna przeważać stanowczo nad innymi. Szarfy do wiązania bywają z tiulu objętego koronką bretońską, lub też ze wstążki w kolorze odpowiednim. Do rannego wyjścia, najwięcéj widać kapeluszy ze słomy szeroko plecionéj, pas jeden w naturalnym kolorze, drugi brązowy albo czarny. Całe ubranie do nich, stanowi grubo skręcona gaza, przepięta z wierzchu bukiecikiem z kwiatów polnych, pomieszanych z kłosami.

Kostiumy letnie, krótkie do ziemi, mają zwykle podwójną spódniczkę; zwierzchnia fantastycznie w festony upinana. Na to idzie obcisły kaftanik, roztwarty z przodu, dopełniony długą kamizelką haftowaną w maszynie na materyi, w drobny deseń pompadour. Kamizelki te przyjęte dziś powszechnie, tak do jedwabnych jak do wełnianych a nawet płóciennych szarych kostiumów. Podobna mieszanina nicianego lub bawełnianego wyrobu, z jedwabną kamizelką razi cokolwiek oko. Dla zobojętnienia téj różnicy wymyślono użycie koronki bretońskiéj; ruszka z niéj lub falbanka odwracana na dwie strony, (en coquille) odgranicza zwykle kamizelkę od wykroju stanika. Kto nie chce wychodzić na ulicę w kaftaniku do figury, kładzie na wierzch szalik kaszmirowy, haftowany brzegiem w deseń pompadour, lub czarną mantylkę *crêpe de chine*, przerzuconą lekko na piersiach, albo wreszcie szalik czarny siatkowy, w wielkie oczy, z płaskiego, karbowanego jedwabiu, obszyty w koło frendzlą.

Krótkie kostiumy wymagają wytwornego obuwia. Buciki zastąpiono téż, trzewiczkami skórkowemi, z kokardą, lub dwoma rzędami żeberek, spiętych na stalowe klamerki. Pończochy do tego bywają kolorowe ze szkockich nici, odpowiednie barwą do kostiumu. Niektóre mają cały przód, pokryty haftem pompadour.

Dajemy tu opis dwóch całkowitych ubrań, jakie nam się zdarzyło widziéć na polach Elizejskich, jednéj niedzieli, kiedy słońce zaświeciło chwilowo nad Paryżem.

Pierwszy kostium, złożony z materyi czarnéj, i tkaniny bawełnianéj zwanéj *satinettą*; jest to rodzaj dymki atłasowéj, drukowanéj w mozajkę z drobnych kwiatków. Spódniczka czarna jedwabna, dotyka ledwie ziemi; u dołu cztery wązkie falbanki fałdowane, najwyższa z podniesioną główką. Na wierzch spódnica z satinetty, na tle zielonkowato popielatym w żywy deseń. Spódniczka ta otwarta z przodu, lekko przymarszczona, przechodzi od jednego boku do drugiego, odkrywając przód spódniczki czarnéj. Z obu stron, w miejscu gdzie się łączą obie spódnice, nagarnirowana koronka bretońska w odwracany sposób (en coquille). Dalej ku tyłowi, spódnica satinetowa, przemarszczana znów aż do góry, przepięta jest podobnym garnirunkiem z koronki, mieszanéj z puklami ze wstążki czarnéj. Stanik długi, obcisły w pasie, ma poły zaokrąglone z przodu, puszczone wolno, tworzące po bokach dwa festony opięte na rogówce, połączone w tyle wielką kokardą z czarnéj wstążki i koronki bretońskiéj. Stanik w koło ogarnirowany koronką, otwarty całkiem z przodu. Pod spód idzie kamizelka czarna jedwabna, spięta na szmuklerskie guziki, zakończona u dołu dwoma koronkowemi falbankami. U rękawów wyłożony czarny mankiet jedwabny, z pod spodu wygląda rusza koronkowa.

Kapelusz do tego z białéj słomki brukselskiéj; rondko podszyte namarszczonym atłasem czarnym. Na wierzchu pęk róż blado różowych, z jasnemi liśćmi w różnych odcieniach. Szarfy do wiązania szerokie tiulowe, objęte koronką bretońską, przerzucone w wielki węzeł.

Drugi kostium czarny z materyi i kaszmiru. Pierwsza spódniczka jedwabna, układana cała w podłużne; zaprasowane fałdy, bez żadnego garnirunku. Na to długa poloneza kaszmirowa, podpięta z obu stron wielkiemi kokardami ze wstążki atłasowéj. Poły roztwarte z przodu; wyłożone szeroko atłasem zahaftowanym lawą. Stanik tworzy wraz z Polką jedną całość, w górze tylko szeroko roztwarty; z pod spodu wygląda kamizelka jedwabna, układana w fałdy podłużne. Szeroka plisa atłasowa naszyta lawą przez plecy, okrąża ramiona, i łączy się z przodu z wyłogami od polonezy.

Fryzka koronkowa, spięta u szyi, atłasową blado lilla kokardą, dopełnia pięknego pół żałobnego ubrania. Kapelusik okrągły z czarnéj słomki brukselskiéj, przybrany pęczkiem piór czarnych, nakrapianych w końcu lilla kolorem; rękawiczki blado lilla, takiż sam parasolik; wszystko to razem tworzy harmonijną całość.

Kwiatów na kapeluszach mniéj widać w tym roku niż dawniéj, za to przyjęto je powszechnie do ozdoby muszlinowych lub koronkowych, chusteczek na szyję i krawatek. Uważaliśmy także kwiaty użyte w nowy sposób do ubrania głowy na wieczór albo na teatr. Mówimy tu o grzebieniach z bardzo wązką ławeczką opasaną dyademem z drobnych kwiatków. Grzebieniem takim, podpinają się włosy po nad niobami. Dwa małe grzebiuszczki przystrojone odpowiednio, wpinają fantastycznie po bokach.

Do mniejszego ubrania, używane dziś na głowę dwie kokardy ze wstążki atłasowéj, w kolorze stosownym do sukni. Kokardy te złożone zwykle z dwóch pukielków i końca. Jedna wpina się w pośrodku głowy, druga z boku nad uchem, albo w tyle warkocza.

Wielkie fryzury, których tak bardzo nadużyto od lat dziesięciu, zaczynają stanowczo ustępować. Moda wymaga dziś aby włosy związane bardzo nizko, spadały w dwóch uplotach na szyję i na plecy, końce tych uplotów podniesione w górę, przytwierdzają się grzebieniem; z przodu grzebienia przechodzi trzeci warkocz.

Mówiąc o szynionach zapiszemy tu ciekawy fakt, że ten dodatek do stroju niewieściego, stał się niedawno przedmiotem dyskusyi, w parlamencie niemieckim. Poseł Delbrück w odpowiedzi księciu Bismarkowi, zgromił modę, kwitnącą jak widać w Niemczech, kiedy ustaje we Francyi, zowiąc ją *nieestetyczną* i niedorzeczną. Powodem dyskusyi był wniosek rządowy podciągający pod taryfę celną, włosy sprowadzone z zagranicy.

Okoliczność ta dała pobudkę dziennikom do zajęcia się szynionami. Między innemi, czytamy ciekawą przygodę, jaka zaszła niedawno w Ameryce. Odkryto niedawno w Kalifornii roślinę włóknistą, naśladującą wybornie ludzkie włosy; nazwano ją *Soap-root*. Perukarze z San-Francisco, poczęli wyrabiać z niéj koki i warkocze; a ponieważ *Soap-root* rośnie w wielkiéj obfitości, nie żałowali zatem taniego materyału i nadali swym kokom piramidalne rozmiary. Otóż zdarzyło się że dwie panie zatrzymały się na ulicy i długą zabawiały rozmową. Nagle jedna chwyta się za głowę z przeraźliwym okrzykiem. Ludzie przybiegają, widzą jak koń uprzężony do powozu, znęcony wonią ulubionéj sobie trawy, pożera ją chciwie w przekonaniu że stoi przed żłobem.

Zrażone Amerykanki, porzuciły niebezpieczną modę, która przeniosła się za morze, i jak mówią zapanowała szczególniéj w Irlandyi.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Alfonsowi. *Głos bez echa* odpowiada zupełnie swemu tytułowi. Zwątpienie, niepewność a nawet rozpacz przebija się w nim w każdéj myśli niemal w każdym wyrazie. Źle to bardzo świadczy o nastroju duszy Autora, mogącym go doprowadzić na bezdroże bez wyjścia. Szczęście i zadowolenie z życia nie jest wprawdzie łatwém do zdobycia, ale posiąść je można przez ujęcie w karby rwących się namiętności. Rozum może to spełnić ale wzmacniany ufnością w pomoc *Tego*, w którego państwie, ziemia nasza jest tylko pyłkiem unoszącym się w przestrzeniach bez granic. Pokora ducha wielce tu może być pomocna trzeba tylko starać się zrozumiéć dobrze to co powiedział niegdyś Sokrates chwalony z wielkiéj mądrości: prawda odrzekł, że jestem mędrszym od wielu, ale dlatego, że wiem to, iż nic nie wiem. Dzisiejsze pokolenie inaczéj sądzi, pewne że nie wszystko. Jakiż to obłęd straszliwy!

Pani Julii T. w Dubrowicy. Powieść Matylda czyli Loch podziemny z angielskiego tłomaczona jest poprawnie, ale zapas mamy tak znaczny do Tygodnika że zaledwie za rok znalazłoby się miejsce na jéj pomieszczenie. Z dobrych zatem chęci, za które jesteśmy wdzięczni, korzystać nie możemy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami odnoszący się do NN. 22 i 23.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 23 Мая 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 23, r. 1879.

SZALONE OŻENIENIE.

przez

M. A. Fleming.

przekład z Angielskiego

przez J. B.

(Ciąg dalszy).

„Terry, odezwała się w końcu, czyniłam dla ciebie wszystko co mogłam, wszak prawda? Starałam się... tak, Bóg widzi że starałam się zapewnić ci szczęście, i wszakże jesteś szczęśliwym?...

Czy on, Terry, jest szczęśliwym?... Dziwne pytanie, jak można je było zadać temu oficerowi od dragonów z twarzą kwitnącą zdrowiem, z ogromną siłą muskularną i mającego sześć stóp i dwa cale wzrostu. Zwróciło to uwagę Terrego i roześmiał się serdecznie.

„Czy jestem szczęśliwym! powtórzył; najszczęśliwszym, najhojniéj uposażonym od losu ze wszystkich młodych ludzi w Anglii. Każde moje życzenie jest natychmiast spełnione i doprawdy, mogę dać na to słowo honoru, że z żadnym księciem nie chciałbym się na mój los zamienić. Czy jestem szczęśliwym? a ma się rozumieć! mając pięćset funtów rocznie prócz nagrody wygranéj na wyścigach, a nade wszystko posiadając twoją życzliwość, milady. O! bo życzliwość twoja, lady Dynely, mówił daléj poczciwy Terry, rumieniąc się coraz silniéj w miarę jak wynurzał swoje uczucia, ma dla mnie większą wartość niż wszystko zresztą na świecie. Nie umiem dobrze... tak nie potrafię wyrazić tego co doznaję, ale czuję... milady to rozumie... czuję pełną najgłębszego szacunku wdzięczność za te wszystkie łaski; i, dodał z głębokiem wzruszeniem, oddałbym chętnie, w każdéj chwili, życie moje za ciebie milady.

Wypowiedziawszy te słowa, umilkł jakby zawstydzony tem co powiedział.

„Wiem o tem Terry, odpowiedziała jéj wielmożność, wzruszona silniéj niż to okazać chciała, wiem i wierzę ci zupełnie. Należysz do rzędu ludzi gotowych umrzéć nawet za swych przyjaciół. Godło naszego rodu da się ściśle zastosować do ciebie: prawy i wierny aż do śmierci! Kiedyś odwołam się do téj prawości i wierności twojéj, nie dla siebie, ale dla Eryka. Kiedyś może przypomnę ci Terry twoje słowa, błagając abyś je urzeczywistnił.

— Skoro ten dzień nadejdzie, milady, odpowiedział spokojnie, spełnię wszystko czego żądać będziesz.

— Tak, mówiła daléj nie zwracając na niego uwagi, kiedyś mogłabym żądać od ciebie, ofiary, wielkiéj ofiary dla Eryka i dla siebie. Kiedyś powiem ci...

Zatrzymała się nagle i wlepiła w niego oczy.

— O! Terry, bądź przyjacielem, bratem dla mojego syna. Jest niedbały, lekkomyślny, szalony, samowolny, imponujący, czuję to, i lękam się tego, powinieneś być jego opiekunem dopóki tylko zdołasz. Cokolwiek będzie mówił lub czynił, nie miéj do niego niechęci, nie odsuwaj się od niego. Czy mi to przyrzekasz?

Upadł przed nią na kolana, ale teraz szczerość uczucia nadała całéj jego postawie tyle szlachetnego wdzięku, że nawet rycerz Bayard mógłby mu pozazdrościć, i przycisnął jéj rękę do ust swoich.

— Przysięgam że cokolwiek Eryk mógłby uczynić lub powiedziéć nie obudzi we mnie niechęci ku niemu. Tak dla jego szczęścia jak i dla twego, milady, zrobię wszystko co człowiek zrobić może. Jesteś aniołem opiekuńczym mojego życia, byłbym mniéj jak człowiekiem, gdybym mógł kiedyś zapomniéć o twojéj dla mnie dobroci.

Wysunęła prędko ręce które trzymał w swych dłoniach, i ukryła w nich twarz swoją.

— Twoim aniołem opiekuńczym, powtórzyła złamanym głosem, o! ty nie wiesz... ty nie wiesz!...

Nie dokończyła; podniosła z żywością głowę, uchwyciła w obie ręce głowę Terrego, i piérwszy raz w życiu pocałowała go w czoło.

Pochylił głowę jakby pod błogosławieństwem, i tym sposobem zostało zatwierdzone przymierze, którego śmierć nawet złamać nie miała.

Lady Dynely zadrżała jak gdyby nagle przebudziła się ze snu. Łagodne cienie wiosennéj nocy osłoniły już miasto. Tysiące beków gazu migotało wśród mgły szaréj, powozy toczyły się ku jéj pałacowi, a Terry Dennison wyszedł pogwizdując irlandzką piosenkę.

Wstała prędko i oczy jéj zatrzymały się przypadkiem na portrecie syna. Światło latarni gazowéj wpadające przez okno, przez okno, oświecało tę twarz piękną i uśmiechniętą.

„Mój synu, wyszeptała z namiętną czułością, mój skarbie jedyny! co powiesz twéj matce skoro dowiesz się prawdy? Muszę ci ją powiedzieć, to mój obowiązek... i, niestety! muszę powiedziéć ją jemu także. Biedny Terry, biedny. dobry i szlachetny Terry, stawia mnie prawie na równi z aniołami, kocha mnie, jak ty syn mój własny, nigdy mnie kochać nie będziesz;... ale cóż o mnie pomyśli skoro prawda zostanie mu odkrytą.

Rozdział III.

Felicya.

Daleko, po za pięknymi pałacami zdobiącymi Belgraw, zdala od zgiełku City, zdala od wykwintnego i ożywionego West-Endu, malarz Locksley, przygląda się zachodzącemu już słońcu, i niknącemu za zielonemi drzewami pięknych ogrodów Brompton'u.

Ten spokojny, szary domek, otoczony miękką murawą, osłonięty głogiem, pnącemi się różami i kapryfolium, to jego mieszkanie. W nim to odmalował *Zmrok*, obraz, który ma być węgielnym kamieniem jego sławy i majątku.

Wsparty o nizkie sztachety, tego trochę zaniedbanego i staroświeckiego ogrodu, ale przepełnionego wonią bzów i róż pali małą, poczerniałą już fajeczkę piankową, jego towarzyszkę i pocieszycielkę w ciągu ostatnich szesnastu lat życia.

Głęboki otacza go spokój. Odblaski zachodzącego słońca pozłacają niebo od zachodu, po nad jego głową jest białawe, jakby zamglone, a na wschodzie szaro opalowe. Ukryty wśród gałęzi wśród wiązu drozd pieści ucho dźwięcznym swym śpiewem i zarówno wzrok, słuch i dusza artysty napawa się spokojnym wdziękiem majowego wieczoru... ale napawa się nim bezwiednie, bo myśli jego krążą gdzieś daleko.

Od dwóch lat już wrócił do Anglii, i przez ten czas jednocześnie życzył sobie i obawiał się pewnéj rzeczy, która spełniła się nakoniec: tym przedmiotem jego życzeń i obawy było spotkanie się z Łucyą Dynely. Była jego krewną i pragnął raz jeszcze zobaczyć z blizka twarz osoby połączonéj z nim związkami krwi, usłyszéć raz jeszcze ten głos tak dobrze mu znany, a z drugiéj strony lękał się bardzo aby nie został przez nią poznanym.

Przeszłość już pogrzebana, a wraz z nią i on także. Jego dawni znajomi nie znają go już teraz. Jest to przeszłość pełna wstydu, boleści, przepełniona goryczą; ale teraz została już na zawsze zagrzebaną w pyle niepamięci wraz z nazwiskiem które wtenczas nosił. Na tym świecie mało co pozostaje długo w ludzkiéj pamięci. Mówią o kimś przez kilka dni, potem unoszą go fale zapomnienia, i nikt już nie wspomni o nim.

Tak w tym jak w przeszłym sezonie widział już nie raz lady Dynely w Parku, otoczoną zbytkiem, strojną w jedwabie i koronki, ale nie spotkał się z nią nigdy oko w oko. Przypomina sobie z pewnym przestrachem wczorajsze z nią widzenie i myśli o zaproszeniu odebranem od niéj właśnie na dzisiejszy wieczór.

Nie poznała mnie, mówił w myśli, a jednak widziałem dobrze że wzbudziłem w niéj jakieś przypomnienie. Szesnaście lat, a z tych dwanaście spędzone wśród bitew w Indyach i Ameryce, mogą do niepoznania zmienić człowieka. Sądzą, jak słyszałem że już zakończyłem życie gdzieś daleko, pod obcym niebem. Tym lepiéj... a jednak być umarłym dla wszystkich, a żyć jeszcze, to rzecz przykra... bardzo przykra.

Wonny i błękitnawy dym z jego fajki unosił się w górę w czystem wieczornem powietrzu; drozd śpiewał ciągle swą ładną piosenkę. Locksley starał się otrząść z tych smętnych myśli, słuchać uważnie, i ścigać okiem artysty rumiane chmurki na zachodzie, aby je następnie naśladować na płótnie.

Po chwili jednak znów też same myśli zaczęły snuć się daléj w jego umyśle.

„Co to za jeden ten Terry Dennison, i co mogło skłonić Łucyę że go prawie adoptowała za syna? Nie zdawała się nigdy skłonną do fantazyi filantropijnych. Ma być dalekim krewnym zmarłego lorda... No! łatwo w to uwierzyć skoro jest do niego tak podobny, nie tylko rysami twarzy ale i kolorem włosów, że możnaby go wziąść nawet za syna lorda wicehrabiego Dynely. Za syna... Locksley zatrzymał się nagle. Za syna! Doprawdy, bardzo to być może.

Tymczasem ucichła piosenka drozda, rumiane chmurki na zachodzie rozpłynęły się w bladym błękicie nieba, po nad wiązem zawisł srebrny sierp księżyca, a Locksley schował do kieszeni zgasłą już fajkę.

„Fanny Forrester, ciągnął daléj w myśli, mała

córeczka mojego zacnego przyjaciela z Kanady, wyrosła już na kobietę. Pani Caryll przyjęła ją za córkę, i ma ją uczynić dziedziczką całego majątku w miejsce Gordona Caryll. Potem połączą ja zapewnie z Erykiem Dynely a zarazem Caryllyne z Opactwem. Okazale piękna dziewczyna, pełna życia, ognia, zbyt piękna, i zbyt hojnie uposażona dla tego Apolina wyrodzonego na dandysa, którego widziałem w Neapolu. Jest tam myśl, jest rozum w téj pięknéj i szlachetnéj głowie, a ileż to silnéj woli zdradzają te usteczka tak pięknie zarysowane. Trzeba jednak wnosić że młodzieniec uposażony równie powabną powierzchownością jak lord Eryk, nie potrzebuje już posiadać żadnych cnót dodatkowych, a prócz tego, wszakże rozumne kobiety zawierają najczęściéj niedorzeczne związki.

Przy téj niezbyt korzystnéj dla kobiet uwadze, Locksley spojrzał na zegarek. Już ósma. Jeżeli chcę być dziś u lady Dynely, czas ubrać się i pójść do niéj.

„Byłoby szaleństwem z méj strony, rzekł do siebie, kłopotać się dłużéj o to aby mnie nie poznano, kiedy zaproszono mnie tylko jako nowoprzybyłego lwa do menażeryi długowłosych kapłanów sztuki. Zresztą miło mi będzie widzieć raz jeszcze zblizka tak dobrze mi znaną twarz Łucyi, znaleźć się raz jeszcze wśród tego świata którego obraz zatarł się już do połowy w méj pamięci. Prócz tego dodał z roztargnieniem, panna Forrester zajmuje mnie bardzo; ta twarz zasługuje na to aby ją uwiecznić pędzlem!

Miał już wejść do domu, ale się zatrzymał, bo właśnie przed jego drzwiami stanął faeton zaprzężony w dwa piękne i pełne ognia kare konie, siedzący w nim gentleman oddał lejce groomowi, wyskoczył na ulicę, i zbliżył się do niego zdejmując kapelusz.

Był to mały człowieczek żółty, pomarszczony, z błyszczącemi okrągłemi oczyma, z fizyognomią cudzoziemską, a z pod letniego jego okrycia wyglądała wstążka jakiegoś także obcego orderu. Wybitny cudzoziemski akcent brzmiał w jego mowie, kiedy zapytał z uśmiechem i ukłonem:

„Wszak pan Locksley?

— Tak panie, odpowiedział artysta.

Mały człowieczek podał mu swój bilet wizytowy.

— Książę Cezar Venturini; przeczytał Locksley, ale poznał go już i bez tego.

Znał doskonale księcia z widzenia, pomimo że z razu nie mógł przypomnieć sobie jego nazwiska. Był to Neapolitańczyk, potomek podupadłéj książęcéj rodziny i wygnaniec polityczny.

— Czemże mogę służyć księciu? zapytał Locksley, spoglądając na niego ciekawie.

— Wszakże *Zmrok*, klejnot tegorocznéj wystawy, jest dziełem pana?

Locksley ukłonił się na znak potwierdzenia.

— Może już sprzedany?

— Nie, jeszcze.

— Czy jest do nabycia?

Locksley pochylił znów głowę.

— Wybornie. W takim razie, panie, jedna z dam pragnie go nabyć, i upoważniła mnie do porozumienia się z panem. Jaka cena?...

Locksley wymienił cenę, ale zdziwiony że książę tak dorywczo i nagle chce przeprowadzić ten interes, zapytał, czy nie chce wejść do niego.

— Nie, nie; zaraz skończymy. Nie chcę pana zatrzymywać, panie Locksley.

Wyjął z kieszeni czek i ołówek, napisał cyfrę i kilka słów, a następnie podał zdziwionemu artyście papier, z głębokim ukłonem, i uśmiechem przy którym pokazał dwa rzędy bardzo pięknych zębów. Potem wskoczył napowrót do faetonu, i koniez oczyma tak ognistemi jak gdyby pochodziły ze stajni Plutona, ruszyły szybko z miejsca.

Locksley zdumiony gorączkową nagłością téj sprzedaży, patrzył na czek wręczony mu przez nabywcę obrazu; był wydany na wskazaną przez niego sumę i opatrzony podpisem księcia, ale wszakże książę Venturyni sam powiedział że kupuje go dla jakiejś pani.

„Chciałbym wiedzieć dla kogo, pomyślał wchodząc do siebie. Jakaś wielka dama czy też... Aha! może ta baletniczka tak głośna teraz w Londynie, któréj piękność i talent stanowi obecnie przedmiot każdéj rozmowy. Książę jest powszechnie uważany za jéj najzagorzalszego wielbiciela, wiele osób utrzymuje nawet że chce się z nią ożenić. Muszę pójść do teatru umyślnie aby ją zobaczyć. Sprzedałem więc obraz za wyznaczoną przezemnie cenę, i drzwi domu lady Dynely zostały dla mnie otwarte; los widocznie zaczyna być łaskawszym dla mnie.

Uśmiechnął się lekko. Przez całe szesnaście lat nie posiadał tyle co dziś pieniędzy. W tym ubiegłym już czasie poznał całą gorycz ubóstwa, ubóstwa tem dokuczliwszego gdy dotknie człowieka zrodzonego w dostatkach i który utracił nagle zajmowane przez siebie wysokie w świecie stanowisko.

Zmieniając ubranie myślał jeszcze ciągle kto kupił jego obraz.

„Jeżeli przypadkiem spotkam księcia u lady Dynely, zapytam go o to, pomyślał zamykając drzwi mieszkania i chowając klucz do kieszeni. Doprawdy radbym dowiedzieć się tego.

Nie ma nic dziwnego że był ciekawym poznać nazwisko téj nieznajoméj, lecz byłby silniéj jeszcze zaintrygowanym gdyby znajdował się w Akademii tegoż dnia po południu.

Salony, jak zwykle były przepełnione, i jak zwykle także *Zmrok* stanowił punkt atrakcyjny dla wszystkich, ze szkodą innych obrazów. Wkrótce po otwarciu drzwi ukazała się na wystawie piękna kobieta wprowadzona tam przez jakiegoś gentlemana, a zjawienie się téj pary odwróciło na chwilę uwagę publiczności od znakomitego dzieła sztuki.

Gentlemanem był książę Cezar Venturyni a wprowadzoną przez niego damą, sławna tancerka: Felicya.

Przesuwała się wolno wśród tłumu, rozkoszując się wrażeniem jakie wywierała piękność jéj drobnéj pulchnéj i kształtnéj kibici, twarz śniada ożywiona zachwycającemi złotawo czarnemi oczyma. Była to prawdziwie piękna brunetka, a toaleta jéj mogła zadowolnić wszelkie wymagania gustu. Suknia, arcydzieło najsławniejszego krawca damskiego, była zrobiona ze srebrno popielatéj materyi w drobne ponsowe punkciki i przybrana drogocenną dawną koronką.

Wszystkie spojrzenia zwracały się na tę zakulisową lwicę, najdoskonalszą, jak mówiono, tancerkę jaka po Taglioni ukazała się na scenie. Książę słuchał z najgłębszą uwagą każdego jéj słowa, ale ona odwróciła się od niego niecierpliwie, i rzucała na znajdujące się na ścianach obrazy pogardliwe spojrzenia.

„Zawsze jedno i toż samo, odezwała się zadąsana, kobiety uśmiechnięte, kobiety z oczami utkwionemi w jakiś punkt niewidzialny, młode dziewczyny podobne do woskowych lalek z żółtawemi włosami i porcelanowemi oczyma. Doprawdy, nie ma tu po co przychodzić.

— Czy droga moja Felicya nie zechce i na to spojrzéć?

Przyprowadził ją do obrazu Locksley'a. Zwróciła na niego niechętne, prawie pogardliwe spojrzenie, ale nagle dziwna zmiana zaszła w jéj całéj osobie. Zbladła jak chusta, ale wyraz znudzenia znikł z jéj twarzy. Najmniéj przez pięć minut stała nieruchoma jak posąg.

„Jakże ci się podoba ten obraz? zapytał książę.

Nie poruszyła się i nie odpowiedziała. Oczy jej zdawały się przykute do tego obrazu. Stopniowo rumieniec wrócił na jéj lica, a w czarnych, na pół przymkniętych jak u pantery oczach zabłysła iskierka ognia. Mała ręka ściskała nerwowo katalog; stała i patrzyła ciągle jakby zostawała pod wpływem uroku.

„Podobał ci się ten obraz. Felicyo? zapytał książę Venturini po francuzku.

— Czy mi się podobał? odpowiedziała, a po jéj ustach przesunął się wolno jakiś dziwny uśmiech! Książę, ja chcę miéć ten obraz.

— A jeżeli już sprzedany? Wprawdzie nie ma na nim gwiazdki, ale...

— Ja muszę miéć ten obraz, zawołała Felicya, a oczy jéj błysnęły ogniem. Sprzedany czy nie ja chcę go miéć. Czyjeż to dzieło. Zobaczyła w katalogu: G. Locksley. Jakieś nieznane jeszcze nazwisko, wszak prawda?

— Całkiem nieznane. Jeżeli rzeczywiście pragniesz miéć ten obraz Felicyo, to go kupię jeżeli jeszcze nie sprzedany.

— Pragnę i muszę go miéć, choćby nawet kosztował bajeczne sumy.

Zwróciła się znów do obrazu, i przypatrywała mu się długo, jak gdyby się nie mogła nigdy dość na niego napatrzyć.

— Może powiesz Felicyo, że to tylko jakieś urojenie, ale zdaje mi się że wymalowana tu kobieta bardzo do ciebie podobna; nie tak pociągająca, o! nie, ale pomimo to nader podobna. Czy nie widzisz tego?

— Jakże mogłabym nie widziéć? odpowiedziała Felicya, i znów jakiś nieodgadniony uśmiech ukazał się na jéj ustach. Któżby mógł nie dostrzedz tego? A jednak jestem pewna że książę nie mógłbyś przedstawić mnie sobie z podobnym wyrazem twarzy. Porzuca ją, wszak prawda? i to doprowadza ją do rozpaczy. Ba! jest to tylko zwykłe zarozumienie i samolubstwo mężczyzn! Opuszczają nas, a my umieramy... tak wyobrażają sobie przynajmniéj. Książę, chcę aby ten obraz stał się moją własnością dziś jeszcze, zanim się spać położę. Proszę pamiętać o tem.

— Spełniać twoje rozkazy to główny cel mego życia, odpowiedział z głębokim ukłonem; obraz ten będzie twoją własnością.

Odprowadził ją do powozu.

Przy świetle zachodzącego słońca, przez sztachety otaczające domek Locksleya, sprzedaż została dokonaną i *Zmrok* stał się własnością sławnéj tancerki Felicyi.

Rozdział IV.

U lady Dynely.

Rzęsisto oświetlone, i świetnym napełnione tłumem salony lady Dynely, otwierały malarzowi bogate źródło do studyów. Późno już było gdy ukazał się w nich Locksley, i zbliżył się do pani domu aby jéj złożyć swoje uszanowanie.

Artysta wydawał się korzystniéj jeszcze w cere-

monialnym ubiorze, w którym bardziéj także uwydatniały się wojskowe jego ruchy.

„Gdyby kto nawet skruszył na drobne cząsteczki naczynie, woń różanego olejku którym było napełnione rozchodzić się z nich będzie, rzekła cicho Fanny Forrester do Terrego. Ruchy żołnierskie odznaczają się zawsze, a co do mnie, nawet habit zakonnika nie zdołał ich ukryć przed mym wzrokiem. Czy wiesz Terry że twój pan Locksley ma najwięcéj dystyngowaną postawę ze wszystkich tu obecnych.

— Nie utrzymywałem tego nigdy że pan Locksley jest moją własnością; ale jak widzę mis Fanny, że nie tylko obraz ale i malarz przypadł ci do gustu, i będziesz dla niego bardzo uprzejmą i uśmiechniesz się do niego czasem, i w przeciągu tygodnia zawrócisz mu w głowie. Ostatnią ofiarą był młody i ceniony poeta, syn krawca z Cheapside. A! biedny Locksley!

— Terry, odezwała się surowo panna Forrester, niedorosłym chłopcom nie wolno być uszczypliwym a tobie tym mniéj jeszcze. Jako zwolenniczkę sztuk pięknych zajmują mnie budzące się geniusze, a jako córkę żołnierza, wszyscy wojskowi. Czy pan Locksley był w jakiéj bitwie?

— W niejednéj; tak w Indyach w czasie powstania jak w Ameryce podczas wojny domowéj, i zarówno tu jak tam odznaczył się bardzo. Mówiono mi że jest odważny jak lew.

— Patrzy mu to z oczu, rzekła Fanny zamyślona, ma bardzo szlachetną postawę. Ten człowiek musi pochodzić ze znakomitego rodu, albo też przysłowie mówiące że krew szlachetną zawsze poznać można, jest całkiem fałszywe. Lady Dynely utrzymuje że bardzo podobny do Gordona Caryll.

— Nie widziałem nigdy Gordona Caryll, odpowiedział Terry, ale wiele o nim słyszałem. Zwichnął, zniszczył całą swą przyszłość dla kobiety, co zresztą jest dość zwyczajną rzeczą. I dzięki temu podobieństwu, Locksley znalazł już przystęp do twego serca, miss Forrester, wszak prawda? Wiem ja dobrze, zapalona wielbicielko bohaterów, że wyobraźnia twoja zamieniła tego Gordona Caryll w jakiegoś pół-bożka.

Uśmiechnęła się i westchnęła. Była zachwycająco piękną, w sukni jedwabnéj różowo cielistego koloru, z ciemno różowemi różami w czarnych włosach spiętych brylantowym grzebieniem. Miała jakąś słabość do żywych kolorów i drogich kamieni, a nie lubiła lekkich białych sukien i pereł używanych powszechnie przez jéj rówienniczki.

„Słyszałam że ksiądz jakiś kazał grywać w kościele swoim wyjątki z różnych oper, mówiąc że byłoby to bardzo źle, gdyby wszystkie najpiękniejsze utwory muzyczne oddawano szatanowi na wyłączną własność. Wychodząc z téj zasady ja znów utrzymuję, że nie godzi się aby mężatki przywłaszczały sobie prawo noszenia najpiękniejszych kolorów i najkosztowniejszych klejnotów. Dość długo już panny w Anglii znosiły to upokorzenie, ja muszę postarać się o to aby dla nich zabłysła nowa pomyślniejsza era.

Taką to odpowiedź dała Fanny Forrester lady Dynely, skoro ta czyniła jéj uwagi co do zbytniéj okazałości jéj stroju. Żywe kolory, błyszczące kamienie, róże i wstążki przypadały wybornie do jéj śniadawéj i świeżéj cery, i wiedziała o tem dobrze.

Fanny lubiła towarzystwo Dennisona, dla którego miała wiele szacunku i serdecznéj życzliwości, z czem nie ukrywała się wcale.

„Jestem szczerze przywiązaną do Terrego, mawiała zwykle: jest to najzacniejszy chłopiec w świecie, i największy mazgaj jakiego Pan Bóg stworzył.

— Obchodzi się ze mną jakby z dziesięcioletnim chłopczykiem, przybyłym do domu na wakacye, dodawał Dennison z westchnieniem.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś o Locksley'u, a bardzo wiele z obecnych tam osób czyniło toż samo. Obraz tak ogólne znalazł uznanie że i twórca jego musiał budzić żywe zajęcie.

„Czy wiesz Fanny że w głowie mojéj zrodziła się pewna myśl?...

— Doprawdy! W takim razie, mój drogi Terry, pielęgnuj ją troskliwie, bo zapewnie nie zrodzi się tam już druga.

— Miss Fanny płeć twoja zapewnia ci bezkarność. Oto myśl moja. Gdyby ten człowiek był dziedzicem Caryllynna, znikłym od tak dawna bez wieści, i gdyby wrócił do domu swych ojców, aby objąć wszystkie włości i cały majątek przeznaczony już tobie, byłby to wypadek dziwny, niezwykły, podobny do tych jakie przedstawiają nam na scenie. Wszak prawda?

— Tak, odpowiedziała Fanny, jakie przedstawiają na scenie, i których dla tego właśnie nie spotykamy w rzeczywistem życiu. O nie! byłoby to zbyt pożądane aby mogło się ziścić. Biedny Gordon Caryll! Lękam się... lękam bardzo, aby wieść o jego śmierci nie była prawdziwą. Podobieństwo które dostrzegła lady Dynely jest zapewnie tylko przypadkowe. Ale patrz skinęła na nas: chodźmy do niéj.

Przeszli przez salon, i panna Forrester powitała artystę uprzejmym ukłonem i miłym uśmiechem.

„Widzę że nie tańczysz Fanny, może więc zechcesz pokazać panu Locksley moją galeryę obrazów. Będziesz pan miał wybornego przewodnika; Fanny, jak sama to przyznaje, przepędziła lata swego pobytu w Rzymie, wśród malarzy i obrazów.

— Z przyjemnością pokażę panu Locksley nasze skarby z dziedziny sztuki, bo wiem że potrafi je ocenić stosownie do ich rzeczywistéj wartości. Cieszę się z tego bardzo że zgadzałam się zawsze z artystami ile razy przyszło mi objawić zdanie o jakimś dziele sztuki, i że zawsze mogłam korzystać z ich towarzystwa, wczasie mego pobytu w Rzymie, téj kolebce geniuszów. Wszak i pan kształciłeś się tam także.

— Tak, miss, przez trzy lata, i...

Mówiąc to uśmiechnął się, a panna Forrester zadziwiła się widząc jak ten uśmiech rozjaśnił nagle jego twarz poważną i smętną.

— I, dokończył często widywałem tam panią.

— Doprawdy? Ale nie ma w tym nic dziwnego; większą część czasu przebywałam w muzeach. Przepędziłam w rzymie najszczęśliwsze lata mego życia.

Spoglądał z zachwyceniem na jéj piękną śniadawą twarz, a oczy jego mówiły: Życie twoje składa się jeszcze z tak małéj liczby lat, i można powiedzieć że nie zaczęłaś żyć jeszcze.

„Jest jeszcze inna rzecz w Rzymie, która musi zwrócić uwagę nawet najmniéj bacznego spostrzegacza, odezwał się Dennison, w którego umyśle, jak widać, znów zrodziła się myśl jakaś: to jest że natura rozmierzała nosy Rzymian i Rzymianek nader skąpą ręką. W czasie mojéj tam bytności, połowa mieszkańców była upośledzona maleńkiemi noskami, a mój nos, dodał przeglądając się z zadowoleniem w lustrze, był najokazalszym ze wszystkich w mieście.

Panna Forrester uderzyła Terrego wachlarzem po tym przechwalonym przez niego nosie, i zaprowadziła ich do galeryi przez przedpokój wybity wiśniowym aksamitem, posianym herbami Dynely'ch, z godłem: Prawy i wierny aż do śmierci.

Locksley rzucił długie spojrzenie na to pyszne obicie, i wszedł za swą piękną przewodniczką do galeryi pokrytéj obrazami od sufitu do podłogi.

„Lady Dynely jest prawdziwą zwolenniczką malarstwa, i posiada bardzo piękne obrazy. Ta głowa pendzla Tyciana, jest najpiękniejszym klejnotem jéj galeryi.

— Bardzo podobna do ciebie Fanny, słowo daje podobna, odezwał się Terry. Wszystko żółtawe, oczy włosy i cera... to jest... właściwie nie jest to żółtawe... no, ale rozumiesz już co chciałem powiedzieć. Była to zapewnie któraś z jego żon; słyszałem że ci starzy mistrze miewali ich po trzy lub cztery. Jak tylko pochowali jedną, druga zastępowała jéj miejsce. Doprawdy Fanny, powinnabyś koniecznie zaślubić jakiegoś genialnego człowieka; byłabyś nieocenioną towarzyszką dla każdego z podobnych ludzi; stałabyś się dla niego, że się tak wyrażę, moralną ostrogą, pobudzającą go ciągle do coraz nowych usiłowań. Gdyby był członkiem Parlamentu, zrobiłabyś z niego pierwszego ministra. Jeżeli będzie artystą, stanie się przy tobie drugim Michałem Aniołem, lub téż w muzyce Bethowen'em. Powiedz sama czy nie mam słuszności?

— Znałam ludzi genialnych, odpowiedziała panna Forrester, bo jak to już powiedziałam, Rzym jest dla nich cieplarną, w któréj wyrastają bujnie i kwitną, ale widziałam także ich żony, i przekonałam się mój drogi Terry, że są to męczennice dźwigające krzyż na swych ramionach, podczas gdy głowy ich mężów wieńczy korona.

— I *vice versa*, rzekł Terry, czyli że... ale czy tylko naprawdę *vice versa?* Mąż kobiety genialnéj jest...

— Nie ma genialnych kobiet, odpowiedziała Fanny, z trochę drwiącym uśmiechem. Mężczyźni tylko mogą mieć do tego prawo. Kobiety nie są powieściopisarzami, rzeźbiarzami ani też malarzami. Jerzy Elliot, Roza Bonheur, panna Hosmer i wiele innych, są to jakieś bajeczne postacie... Geniusz jest prerogatywą należącą się z prawa tylko naszemu panu i władcy... mężczyźnie.

— W takim razie wdzieracie się panie w prerogatywy swego pana i władcy, odpowiedział Locksley z uśmiechem. Widzę że pani umie być uszczypliwą, panno Forrester.

— Byłem zawsze tego zdania że to wielka szkoda że Fanny nie urodziła się w Nowym Yorku, odezwał się znów Dennison. Mogłaby wejść na trybunę jak to podobno czynią tam wszystkie kobiety, i rzucać aż pod niebiosa skargi nad niesprawiedliwem poniżeniem niewiast, a na mężczyznę ich zaciętego wroga i tyrana ciskać gromy gniewu i oburzenia. O! bo trzeba wiedzieć że panna Fanny Forrester jest to osóbka bardzo, bardzo energiczna. A teraz Fanny, jeżeli możesz obejść się bezemnie przez jakie pół godziny, to pozwól mi oddalić się. Zamówiłem damę do przyszłego walca, którego pierwsze tony już doszły do mego słuchu.

Po tych słowach Dennison oddalił się zwolna, a panna Forrester i Locksley pozostali sami w galeryi obrazów. Wypowiadali o nich swoje zdanie, mówili o Rzymie sztuce, artystach i o poetycznem życiu jakie tam wieść można.

„Zdaje mi się że byłam stworzoną na cygankę, rzekła w końcu ze swym szczerem śmiechem, i że trochę chybiłam mego powołania. Jest to życie tak swobodne pełne przygód i rozmaitości, tu zaś możnaby sądzić że obracamy się wszyscy bez przestanku w koło jak konie w deptaku... Nie zmęczyło

mnie to wprawdzie, dotąd, pomimo mego sceptycyzmu, nowość dosyć mnie jeszcze bawi, ale wiem że może wkrótce bawić przestanie. Panie Locksley, dodała zmieniając nagle przedmiot rozmowy, czy obraz pana już sprzedany?

— Tak, od dwóch godzin, opowiedział, a następnie uwiadomił ją w jak dziwny sposób sprzedaż została dokonaną.

— Książe di Venturini, powtórzyła i dla jakiejś damy? Któżby to mógł być? Książe znajduje się tu właśnie, muszę go o to zapytać. Żałuję bardzo że już sprzedany, lady Dynely życzyła sobie bardzo mieć go w swojéj galeryi. Twarz téj kobiety stoi mi ciągle przed oczami.

Locksley zmieszał się i zbladł lekko. Fanny spostrzegła to, i ciekawość jéj została jeszcze silniéj rozbudzoną. Sama nie umiałaby sobie zdać sprawy czemu ten człowiek i obraz jego budzi w niéj takie zajęcie.

„Czy model pana żyje dotąd? zapytała jakby od niechcenia.

— Malowałem ten obraz z pamięci, jak to już mówiłem pani.

— W takim razie model pozował w pana pamięci; ale nie odpowiedział pan jeszcze na moje pytanie. Chciałabym wiedziéć czy ta twarz tak piękna należy do żyjącéj jeszcze osoby.

— Sądzę że nie... spodziewam się że nie.

— A! panie Locksley.

— Tak, spodziewam się że nie, powtórzył trochę opryskliwie. Jest to złe, nie chrześciańskie życzenie, ale byłoby lepiéj gdyby wszystkie podobne kobiety znajdowały się pod ziemią zamiast na ziemi.

— Jakże musiała być zachwycająca, odezwała się znów Fanny, kiedy jest jeszcze tak piękną pomimo pełnego przestrachu i rozpaczy spojrzenia, jakie pan nadał jéj na tym obrazie.

— Była najpiękniejszą ze wszystkich kobiet jakie mi się widziéć zdarzyło.

Nie była to bardzo pochlebna odpowiedź dla Fanny, ale nie obraziła się nią wcale. Może zbytnią otwartością w mowie i swobodą obejścia przekraczała niekiedy granice zakreślone przepisami form światowych, ale była niewinna jak dziecko i wolną od wszelkiéj próżności.

„Bardzo jestem ciekawa, czy to ty na tym obrazie jesteś jéj sędzią i oskarżycielem, myślała patrząc na niego. Chciałabym także wiedziéć jakim sposobem ta kobieta mogła ci zaszkodzić.

Zrozumiał to jéj spojrzenie. Lekki uśmiech rozchmurzył poważną twarz jego, skoro wyczytał to jéj nieme pytanie.

„Zbyt wiele czyni pani zaszczytu memu obrazowi, zwracając na niego tak wiele uwagi, rzekł po chwili; przedstawia on dawne bardzo dzieje. Kobieta którą tam przedstawiłem nie zasługuje na to aby myśl pani zatrzymała się na niéj choćby na chwilę Jest to istota która złamała, zniweczyła całe moje życie, która, o ile mi wiadomo już żyć przestała, a od któréj gdyby żyła jeszcze, gotów byłbym uciec na drugi koniec świata, byleby z nią się nie spotkać. Sam nie umiałbym zdać sobie dokładnie z tego sprawy dla czego odmalowałem tę scenę; było to dziełem chwilowéj fantazyi. Nie sądziłem nigdy aby ten obraz mógł miéć tak wielkie, powodzenie.

Zarumieniła się. Zdaje się że chciał poskromić jéj niewłaściwą ciekawość. Jest więc w życiu tego człowieka jakiś dramat, pomyślała, i uczuła że to powiększyło zajęcie jakie w niéj budził. Przeczuwała że ten artysta zarabiający penzlem na kawałek chleba, ten mężny żołnierz, pochodził ze szlacheckiego rodu. Od téj chwili Locksley zajął w jéj umyśle miejsce na jakimś nie zajętym jeszcze piedestale, i na przyszłość stać będzie wśród bohaterów jéj marzeń.

Nie mówiono już więcéj o obrazie Locksley'a ale zabawili jeszcze jakiś czas w galeryi; Locksley'owi nie pilno było wyjść ztamtąd, a Fanny doznawała jakiejś dziwnéj i całkiem jéj dotąd nieznanéj przyjemności, kiedy słuchała jak spokojnie i z powagą wskazywał zalety i wady znajdujących się tam dzieł sztuki, i myślała o tem z przykrością, że będzie zmuszoną wrócić wkrótce do salonu, i oddychać jego dusznem i przepełnionem wonnościami powietrzem.

Pomimo to wrócili tam jednak, i to na jéj własne rządanie. Jéj długa nieobecność mogłaby zwrócić czyjąś uwagę, a prócz tego zdawało jéj się że została zamówioną do walca przez księcia Venturini.

„Muszę się dowiedziéć koniecznie, pomyślała, kto kupił obraz pana Locksley'a. To pewna że i on nie mniéj odemnie jest tego ciekawym.

Książe Venturini prowadził rozmowę o polityce z kilku wyorderowanymi panami, ale przerwał ją natychmiast skoro dostrzegł Fanny, i przypomniał jéj że mu obiecała tego walca.

Tańcząc z nim rozpoczęła śmiało rozmowę w tak żywo zajmującym ją przedmiocie.

„Nie mogę wybaczyć księciu że tak pośpieszyłeś się z nabyciem najdrogocenniejszéj perły tegorocznéj wystawy. Mówię tu ma się rozumieć, o obrazie pana Locksley, *Zmrok*. Ja właśnie kupić go chciałam.

— Doprawdy! zawołał książe, z krzykliwym francuzko-neapolitańskim akcentem, ja nie kupiłem go wcale. Jak widzę wszystkie kobiety zachwycają się nim. Jakże ci artyści są szczęśliwi.

— Pan go nie kupiłeś? zapytała zadziwiona Fanny. Pan Locksley mówił mi...

— A tak, pan Locksley mógł powiedziéć to pani ale ja nie dla siebie nabyłem ten obraz. Nie jestem ulubieńcem publiczności; nie mogę dla fantazyi szafować tysiącami funtów. Rzeczywistym nabywcą jest Felicya.

— Felicya! baletniczka!...

— Gwiazda Królewskiego teatru! tak miss Forrester. I zapłaciła za niego bajeczną cenę! Felicya nie rozumie tego aby jéj życzenie mogło być nie spełnionem.

Walcują daléj w milczeniu. Uwieńczona różami główka panny Forrester przewyższa o dwa cale głowę księcia, a w duszy czuje się prawie upokorzoną tem że ta baletniczka ją uprzedziła.

Późno już. Powozy z herbami odjeżdżają jeden po drugim, a Locksley wyminąwszy jakiego dumnego pana, obwieszonego wstęgami, gwiazdami i krzyżami, zbliża się do lady Dynely aby ją pożegnać.

„Mam nadzieję że będziemy widywać pana w każdą środę, panie Locksley, rzekła uprzejmie lady Dynely.

Locksley podziękował jéj, ale nie zobowiązał się do niczego.

„Jakże ci się podobał ten genialny artysta, Fanny? zapytał Terry. Czy wytrzymał szczęśliwie egzamin, lub téż czy jest to osobistość tracąca na bliższem poznaniu, jak naprzykład ów poeta, syn krawca z Cheapside.

— Pan Locksley nie jest geniuszem, odpowiedziała panna Forrester wchodząc na schody. Jest to tylko utalentowany artysta, który może nigdy już nie utworzy drugiego równie znakomitego obrazu. Widzimy często podobne przykłady mój drogi Terry. Dobranoc, życzę ci przyjemnych marzeń.

— Dobranoc, czyli raczéj dzień dobry Fanny. Ale ja nie o tobie marzyć będę.

— O kimże niewdzięczniku?

— O młodéj dzieweczce z hrabstwa Lincoln. Nie znasz jéj wcale, panno Forester, onaząś byłaby bardzo zmieszana i zalękniona gdyby znalazła się nagle w twéj królewsko imponującéj obecności. Pomimo to nie ma nikogo w całym Londynie coby wytrzymał z nią porównanie.

Błękitne oczy Terrego żywszym zajaśniały blaskiem kiedy mówił te słowa.

„Jeszcze jedno serce stracone! pomyślała panna Forester zamykając drzwi taka to koléj rzeczy; dawni znajomi opuszczają nas, nowi przybywają, i tak zawsze w koło. Dobry, poczciwy Terry. Daj Boże aby twoja szczera miłość przyniosła ci szczęście należysz do tych wyjątkowych ludzi, uszczęśliwiających kobiety które zaślubili.

Zadzwoniła na pannę służącą, i myśli jéj innym popłynęły tonem.

„A więc ta Felicya kupiła obraz pana Locksley; trzeba przyznać że ma gust dobry... Jest bardzo piękna, ale o ile mi się zdaje, wszystkie one zawdzięczają po części swą piękność różom, blanszom, perukom, i tym podobnym dodatkom. Tańczy także wyjątkowo pięknie. Nie potrzebowała jednak śpieszyć się tak bardzo z nabyciem tego obrazu.

Spostrzegła list na stole i to przerwało pasmo jéj myśli. Był to list z Rzymu, i Fanny pochwyciła go z okrzykiem radości.

„Od babuni! zawołała.

Rzeczywiście pani Caryll była tylko daleką krewną jéj ojca, ale Fanny nazywała ją babunią. Rozłomała pieczątkę, i chciwie czytać zaczęła. Przytoczymy tu tylko ostatnią stronicę listu:

Nie piszesz mi nic, droga moja Fanny o Eryku. Czyby nie wrócił jeszcze? Byłaby to trudna do przebaczenia opieszałość, skoro wie że jesteś w Londynie. Drogie moje dziecię, proszę o to Boga aby ten związek przyszedł do skutku, bo zarówno kocham ciebie i Eryka. Widziéć was połączonych i szczęśliwych, to najgoretsze pragnienie mego serca, i najdroższe życzenie jego matki. Jest to związek dobrany pod każdym względem: posiadacie oboje, młodość, zdrowie i piękność. On cię kocha Fanny, jestem tego pewna, i byłby ci to powiedział dawniéj gdybyś mu na to pozwoliła; ale ty śmiałaś się ile razy nadmienił coś o tem, i okazywałaś zawsze że nie przywiązujesz do tego wielkiéj wagi. Masz takie jakieś dziwne usposobienie, drogie moje dziecię, tak mało jesteś podobną do innych młodych dziewcząt, a przy tem tak samowolną, i masz tak odrębny sposób zapatrywania się na rzeczy, że doprawdy obawiam się czasem o ciebie. Nie dla tego abym sądziła że mogłabyś uczynić wybór niegodny ciebie; o nie, tego się nie lękam; jesteś zbyt dumną abyś mogła poniżyć się do tego stopnia; ale możesz spotkać człowieka z którego wyobraźnią twoja wytworzy sobie jakiś ideał, którego nie będziesz mogła zaślubić, i który na zawsze pozbawi cię szczęścia. Jakieś bolesne dla mnie przeczucie mówi mi że tak być może; a więc strzeż się tego, daj słowo Erykowi i nie każ długo czekać na odpowiedź, kochającéj cię prawdziwie.

M. Caryll.

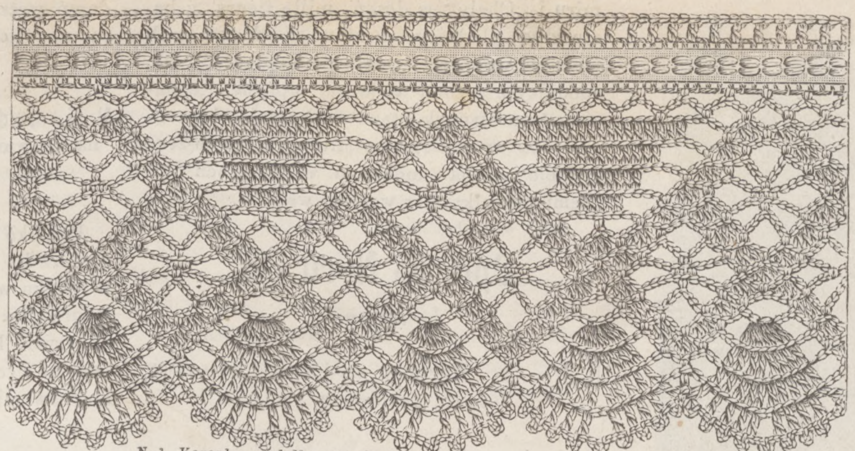
(d. c. n)

Opis do N. 22.

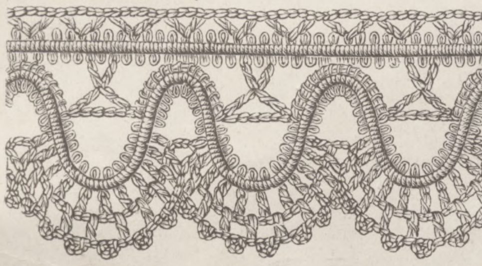
(Dokończenie).

Plecy dopełnione są od dołu prostym brytem 18 cent. długim a 76 szerokim, ułożonym w kontrafałdy i przyszytym od spodu. Z przodu dodane są kołnierzowe ranwersy, które wszywa się między szew na ramionach a w górze przy wykroju od i) do l). Falbanki haftowane 2 do 3 cent., i torsadki pikowe 1 cent. szerokie służą do przystrojenia sukienki.

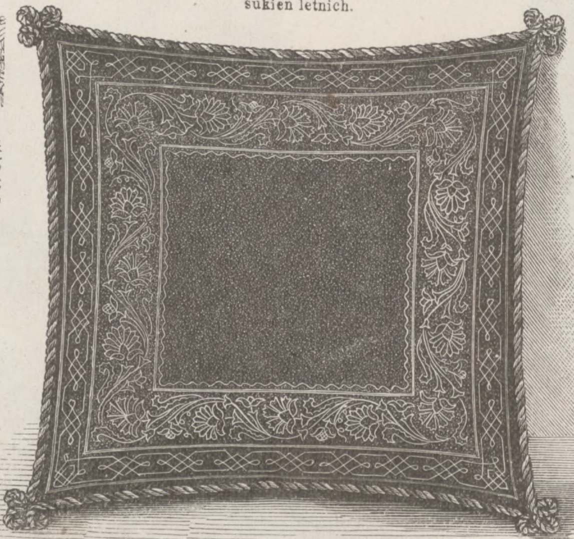
N. 17. Kołnierzyk i mankiety płócienne garnirowane koronką.



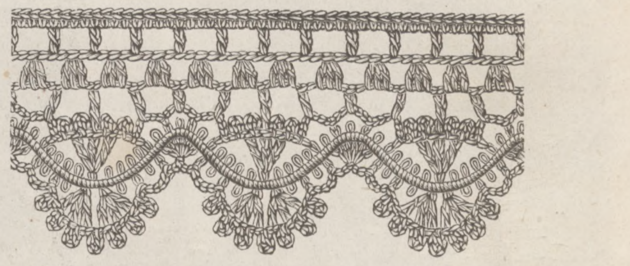
N. 1. Koronka szydełkowa naśladująca koronkę warsztacikową do garnirunku sukien letnich.



N. 2. Koronka szydełkowa z mignardisse. Do sukien, fartuszków i t. p.



N. 4. Poduszka ozdobiona haftem łańcuszkowym i szydełkowym. Deseń na Fig. 29.

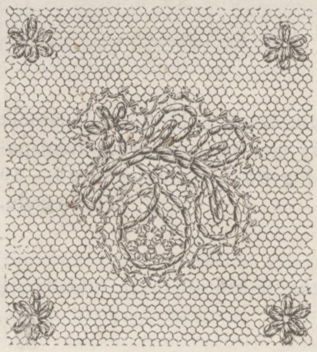


N. 3. Koronka szydełkowa z mignardise. Do sukien fartuszków i t. p.

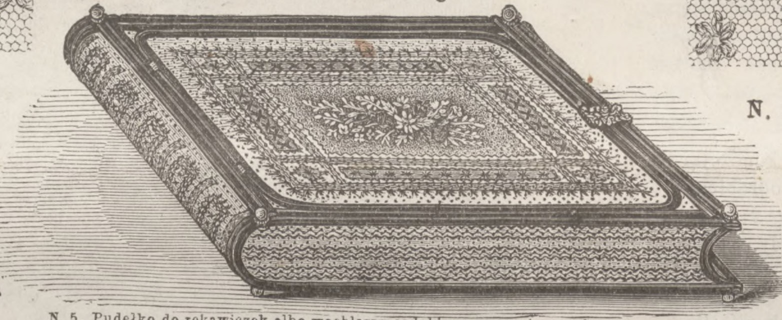
Bardzo cienki płócienny kołnierzyk wszyty w prosty pasek, ma z tyłu 2, z przodu 4 cent. szerokości; mankiety z dwóch równych części złożone, w środku podwójną stebnówką zeszyte są $4^1/_2$ cent. szerokie. Koronkę bretońską 4 cent. szeroką w kontrafałdy ułożoną, wszywa się w pasek muślinowy i przyfastrygowywa do kołnierzyka i mankietów tak ażeby 2 cent. wystawała.



N. 7. Szlak do krawatki Nr 9, wywodzenie na tiulu.



N. 8. Rzucik do krawatki N. 9.



N. 5. Pudełko do rękawiczek albo wachlarzy ozdobione wyszyciem na kanwie papierowej z podkładaniem materyi i malowaniem albo robotą nakrapianą.

N. 18. Kołnierzyk i mankiety z koronki wywodzonej na tiulu.

Fason kołnierzyka stanowi kawałek koronki bretońskiej albo wywodzonej na tiulu, 46 cent. długi a 5 cent. szeroki, który w górze cokolwiek przymarszczony przyszywa się do kawałka wstawki wązkiej, mającej 34—36 cent. długości i wywija 4 cent. szeroko. Także sama koronka w ząbki zakończona u dołu, układa się w kontrafałdy na krezę 4 centym. szeroką, a u dołu takąż koronką zmarszczoną 5 cent. szeroką, przyszywa się do brzegu kołnierzyka. Kolorowa wstążka $3^1/_2$ centym. szeroka w długie kokardy ułożona służy do zapięcia kołnierzyka. Mankiety robią się z kawałków koronki 25 cent. długich, w kółko złączonych, w górze gładko w pasek muślinowy 3 — 4 cent. szeroki wszytych, u dołu marszczoną koronką obszytych i crêpe-lisse podgarnirowanych.



N. 6. Krawatka z indyjskiego muślinu i koronki bretońskiej.

N. 19 — 21. Koszyk do robót z przykryciem haftowanem na płótnie.

Koszyk z żółtej lakierowanej trzciny 14 centym. wysoki, 30 długi a 22 szeroki, przykryty był serwetką z płótna szarego kanwowego, trzymającą 33 cent. w kwadrat, ozdobioną pasami haftu kolorowego i kratki ażurowej. Na kratkę której próbkę podajemy na ryc. 20, wyciąga się nitek 12, a następnie obrabia ją się kordonkiem szarym w sposób na próbce wskazany. Deseń do haftu krzyżykowego robionego filozelą załączamy na rycinie 21. Układ wskazanych kolorów można zmieniać kolejno w figurach. Serweta zarówno jak i koszyczek podszyta jest zieloną materyą, a z brzegu oszyta szarą jedwabną frendzlą siatkową z kwastami w tych co haft kolorach.



N. 10. Haft kolorowy na poduszkę, robiony na tkaninie nowego rodzaju złożonej z pasów kanwowych i materyalnych, zwanej kanwą pekin.

N. 22—23. Półbuciki spacerowe.

Chociaż wysokie buciki skórkowe albo serżowe, z boku na guziki zapinane nie wychodzą z mody, do spacerowego ubrania używane są także półbuciki ze skóry hamburskiej z przodu sznurowane, z dodaną patką która zapina się na guziki i przykrywa sznurowanie, jak to widać na ryc. 22. Albo też półbuciki kozłowe ozdobione wielką aksamitną kokardą ze sprzączką, jak na ryc. 23.

N. 24. Zastawka do okna ozdobiona zasuszonemi kwiatami.

W ramie ze trzciny bronzowo lakierowanej, oprawione są dwie tafle szkła lagrowego, pomiędzy które ułożony jest bukiet z kwiatów, liści, mchu i traw tak starannie zasuszonych, ażeby zachowały kolory. Kwiaty przykleja się do jednej tawli płynną gumą a drugą przykrywa je się z wierzchu.

N. 27. Kapelusz z florenckiej słomki dla małej dziewczynki, ubrany stokrotkami, trafką i wstążką białą repsową $4^1/_2$ cent. szeroką.



N. 9. Krawatka robiona na tiulu. Deseń szlaku i rzuciku na ryc. 7 i 8.

N. 28. Kapelusz słomkowy dla małej dziewczynki.

Główka białego słomkowego kapelusza 5 i pół cent. wysoka opasana jest gładko wstążką białą atłasową 3 centym. szeroką, z której z boku upięta kokarda. Rozeta na wierzchu główki i kwasty spuszczone z boku zrobione są z siepanej materyi. Rondko 3 centymetra szerokie



N. 11. Szlak na poduszki, serwety i t. p. Wyszycie różnemi ściegami i kratka ażurowa na kanwie jawa.



N. 18. Sukienka wycięta dla dziewczynki lat 3—5. Opis przy ryc. 16 w N. 22. Krój N. VIII, Fig 50—54.

N. 19. Paletocik pikowy. Krój podług ryc. 29—30 w N. 19 Tygodn.

objęte jest z brzegu wstążką z której także układa się riuszę.

N. 31. Paletocik z kamizelką.

Paletocik z dodanemi do przodów częściami kamizelki zapinanemi na jeden rząd guzików, na modelu odrobiony był z czarnego jedwabnego repsu. Do przodów i boczków dodane były oddzielne, 24 cent. długie poły, naśladujące męzkie tuzurki, kołnierz wykładany miał 8, a mankiety 12 cent. szerokości. Frendzla 10 cent. szeroka naszyta jest wachlarzowo na przyszyciu kamizelki a prosto u dołu na przyszyciu pół i przy w ząb cientych mankietach.

N. 32. Stanik frakowy z długą kamizelką.

Przedstawiony z tyłu stanik z frakową baskiną, ma dodaną do przodów długą kamizelkę zwaną Louis XV, dużo wystającą od dołu, a z boków dochodzącą do frakowej baskiny. Całe ubranie odrobić można z gładkiego kasz-



N. 22. Żakieta i majtki ze stanikiem, dla chłopczyka lat 5—7. Krój i opis na dodatku z formami Nr. IV, Fig. 19—25.

N. 23. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. X, Fig. 58—60.

miru i „Chaly“ w deseń mille-fleurs, z bastu albo gładkiego kretonu i atłasu bawełnianego zwanego „satin pompadour.“ Na spódnicy z przodu daje się upięcie „a panier;“ garnirunek stanowi koronka bretońska lub wywodzona na tiulu, którą jeszcze ozdobić można dodanemi w odstępach długiemi pukielkami z wązkiej wstążki.

Opis do N-ru 23.

N. 1 — 3. Koronki szydełkowe do sukien letnich, fartuszków i t. p.

deseń węższego szlaku; podszycie poduszki stanowi skóra amerykańska.

N. 5. Pudełko do rękawiczek lub wachlarzy. Wyszycie na kanwie z podkładaniem materyi patrz ryc. 25—26.

Pudełko to jest uklejone z tektury w formie albumu, z wierzchu pokryte papierową kanwą łososiowego koloru, w środku wyklejone białym morowym papierem. W około brzegów dane pręciki z czarno lakierowanej trzcinki. Wyszycie luźnym ściegiem kolorowemi jedwabiami wskazane na ryc. 25 i 26. Na przykryciu bukiet zrobiony kolorowemi farbami albo robotą nakrapianą.

N. 12 i 38. Suknia muślinowa z tunikowem upięciem. Krój tuniki na arkuszu Nr. XIII, Fig. 63.

Do ubrania sukni muślinowej przedstawionej z przodu i z tyłu na ryc. 12 i 38 użyte są walensjenki 3 i pół i 1 i pół cent. szerokie, wszywka 3 cent plisowanie muślinowe 11 i 7 cent. szerokie i kokardy z wstążki atłasowej w dwóch kolorach. Garnirunek na spódnicy liczy 23 centym szerokości i składa się z falbanki plisowanej z falbany układanej w kontrafałdy, oszytej wszywką i koronkami, oddzielonej w nagłówek 3 cent. szeroki. Fig. 63 wskazuje krój wszystkich części i tunikowego upięcia; część a) w środku sfałdowana jest do 68 cent. długości i naszyta plisowaniem przepinanem kokardami, z boków zaś skośnych do 62 cent.; górna część b) jest w środku więcej z drugiej mniej odsłonięty, ufałdowany jest w szerokie kontrafałdy i w odstępach 12 centym. przeszywany koronkową wszywką. Szalowa draperya ułożona ze skośnego kawałka, który przy górnym ściśle sfałdowanym brzegu poprzecznym liczy 32, przy dolnym (sfałdowanym następnie do 30 cent.) brzegu 66 cent. szerokości, długości zaś od strony górnej 94 od dolnej 126 cent. Na tylne upięcie potrzeba prostego bryta 70 cent. szerokiego, 180 długiego, sfałdowanego do 10 cent. i wszytego w pasek od sukni, który z jednej strony jest zmarszczony do 95 cent. i wpuszczony w szew łączący bryt boczny z tylnym, z drugiego zaś boku pod-



N. 12. Suknia muślinowa z tuniką plecy na ryc. 38. Krój tuniki N. XIII, Fig. 63.

N. 13. Suknia muślinowa z draperyą szalową, plecy na ryc. 39.

N. 14. Suknia ozdobiona haftem.

N. Ubranie ślubne ...ego atłasu.

N. 16. Ubranie z wyciętym stanikiem dla druchny. Zobaczyć także ryc. 33 i ryc. 29 w N. 22. Krój N. VI Fig. 39—46.

N. 17. Strojne ubranie dla małej dziewczynki.

N. 4. Poduszka do kanapy. Deseń na dodatku Fig. 29.

Na tle ciemno bronzowego sukna, dane wyszycie ściegiem sznureczkowym i łańcuszkowym, jedwabiem jasno piaskowym; szeroki szlak można wyszyć podług któregokolwiek z podawanych przez nas deseni, lub powiększyć podług ryc. 4. Fig. 29 załącza

N. 6—9. Dwie krawatki.

Rycina 6 przedstawia krawatkę z muślinu indyjskiego i koronki bretońskiej; środkiem dany pas wszywki 4 centym. szerokim, 120 długi, otoczony prostemi paskami muślinu indyjskiego $2\frac{3}{4}$ cent. szerokiemi; brzegi otacza koronka 4 cent. szeroka, z poprzecznych stron zaplisowana i rozszerzona wszywką. Na ryc. 9 widzimy krawatkę wywodzoną na tiulu podług ryc. 8; szlaczek na około brzegów wyszywa się podług ryc. 7.

zmarszczona do 14 cent. z boków zaś przez założenie 4 fałd zebrana do 44 cent. Obie te części zachodzą pod bryt tylny c) przy górnym brzegu sfałdowany do 50 cent. Na staniku naszyte koronki i wszywki odznaczają kamizelkę widoczną na ryc. 12.

N. 13 i 39. Suknia muślinowa z szalową draperyą.

U dołu sukni dane dwie plisowane falbanki; przedni bryt przez skośne przerzucenie draperyi z jednej strony pina się w głęboki pukiel podług ryc. 39. Wszywka tylko przy staniku naszyta jest na materyale wszędzie zaś wszywa się ażurowo; koronka liczy 5 i pół wszywka 3 cent. szerokości.

N. 14. Suknia ozdobiona haftem.

Odrobiona jest z czarnej faille a wspaniały haft stanowiący bardzo gustowne przy-



N. 20—21. Sukienka princesse z dodanemi paltocikowemi częściami, dla dziewczynki lat 4—6. Krój N. III, Fig. 15—18.

branie dany jest na atłasie czarnym, jedwabiem koloru żółto drzewnego. Na przednim brycie haftowane pasy atłasowe, 10 cent. szerokie przedzielane są pasami atłasowemi drobniutko wzdłuż przemarszczonemi. Pasek przy wykroju szyi 5 cent. szeroki i paski przy wązkich rękawach, po 7 centym. szerokie, oszyte plisowaniem 5 cent. szerokiem, są z atłasu drobniutko marszczonego.

N. 15. Ubranie ślubne.

Suknia atłasowa z przodu formą princesse ma plecy stanika odcięte w baskinę a bryty przedłużone od boczków są lekko podpięte. U dołu sukni dana falbanka 7 cent. szeroka, ułożona w kontrafałdki 2 cent. szerokie, na którą spada falbana 19 cent. szeroka składana w kontrafałdy 4 i pół cent. szerokie, przedzielane podwójnemi puklami. Wianeczek mirtowy, welon z iluzyi jedwabnej pięć łokci szerokiej.

N. 16, 33 i ryc. 29 w N-rze 22. **Ubranie** balowe. Krój stanika na arkuszu N. VI, Fig. 39—46.

Ciężka adamaszkowa niebieska materya i blado niebieski atłas stanowią materyał na strojną suknię przed-



N. 24. Bluzka ze spódniczką i majtki ze stanikiem. Krój bluzki podług Fig. 55—57, majtek i stanika podług Fig. 19—20.

N. 25. Długi stanik z plisowaną spódniczką i majtki ze stanikiem dla chłopczyka lat 3—5. Krój stanika N. IX Fig. 55—57, majtek Fig. 19—20.

stawioną na ryc. 16; stanik z przodu przedstawiliśmy w N-rze 22 na ryc. 29, spódnicę zaś dla dokładnego wskazania upięcia draperyi podaje z boku ryc. 33.

Do stanika adamaszkowego dodane są z atłasu części kamizelkowe, (oznaczone linijką na Fig. 39) i ranwersy przy wykroju dopełnionym iluzyową szmizetką. Ranwersy u dołu oszyte są 3 cent. szeroką, z brzegu wysiepaną falbanką ułożoną w rurki a na ramionach złączone od gwiazdki do dwukropka skośnemi 7 cent. szerokiemi, w końcach przefałdowanemi kawałkami atłasu. Do plecków jako przedłużenie baskininy frakowej dodana jest część atłasowa, w górze wązko sfałdowana, do dołu wachlarzowo rozszerzona, którą układa się z kawałka atłasu mającego w górze 30, u dołu 36 cent. szerokości, w środku 18, po brzegach 15 centym. długości. Przednie bryty i kliny spodnicy daje się z perkalu lub kamlotu tego co suknia koloru, a tren i bryty tylne z materyi na muślinowej podszewce; następnie przód i kliny pokrywa się gładko od dołu do 40 cent. wysokości materyą, a wyżej układa się draperyą wskazaną na ryc. 16 i 33. Prawy bok spódnicy stanowią wzdłuż przemarszczone bryty atłasowe a lewa draperya zachodząca od przodu aż do brytów tylnych, której zmniejszony model przedstawia ryc. 46a. Linijka kropkowana oznacza środek draperyi, fałdy oznaczone krzyżykami i kropkami; gdzie takowe głębiej założyć lub rozsunąć, gdzie cała draperya bardziej płaską lub odstającą być powinna, to wskazać musi próba na osobie. Fig. 46 b) podaje tylny bryt draperyi którego brzeg boczny 68 centym. długi obejmuje się plisą atłasową 12 cent. szeroką, górny brzeg bryta trzeba ściśle sfałdować i przymocować pod kokardą, 36 cent. od góry, na szwie łączącym bryt tylny z klinem bocznym od strony prawej. Przeciwległy koniec przymocować kokardą na szwie z boku lewego w sposób na ryc. 16 wskazany a róg draperyi nad garnirunkiem na środku trenu. Garnirunek stanowią wązkie, w dwie strony odwrócone atłasowe plisowane falbanki, przedzielone adamaszkową riuszą wachlarzowo ułożoną; suta 10 cent. szeroka jedwabna frendzla i kokardy z podwójnie złożonego atłasu 5 centym. szerokie.

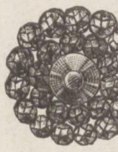
(dok. nast)



N. 26. Fartuszek ze wstawkami i koronką wywodzoną na tiulu.



N. 28. Guzik emaljowany.



N. 29. Guzik stalowy.



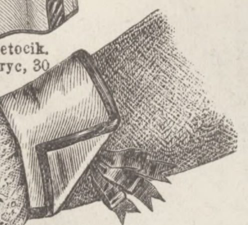
N. 33. Ubranie ze stanikiem wyciętym. Zobaczyć ryc. 16 i ryc. 29 w N. 22.



N. 32. Lóżny paletocik. Krój i opis przy ryc, 30 w N. 22.



N. 30. Guzik z konchy perłowej.



N. 31. Rękaw z gładkim mankietem do sukni ryc. 1—2.



N. 27. Fartuszek ozdobiony haftem krzyżykowym. Krój Nr. VII Fig. 47—49.





N. 34. Ubranie z vêtement paletotowem i draperya na spódnicy. Krój podług ryc. 16 w N. 19.



N. 35. Ubranie ze stanikiem patocikowym. Krój i opis na dodatku z formami N. II, Fig. 8—14.

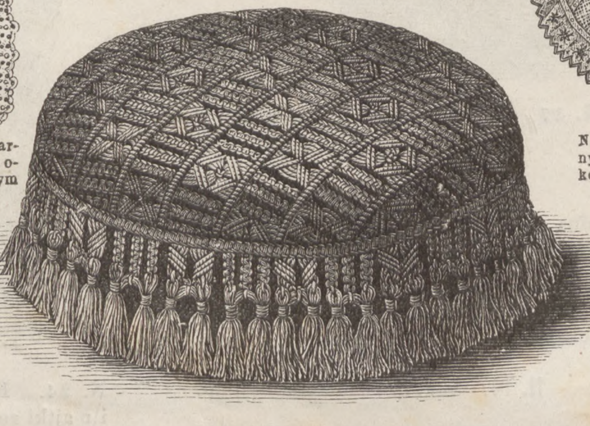


N. 36--37. Ubranie z vêtement paletocikowem. Krój w N. 18.



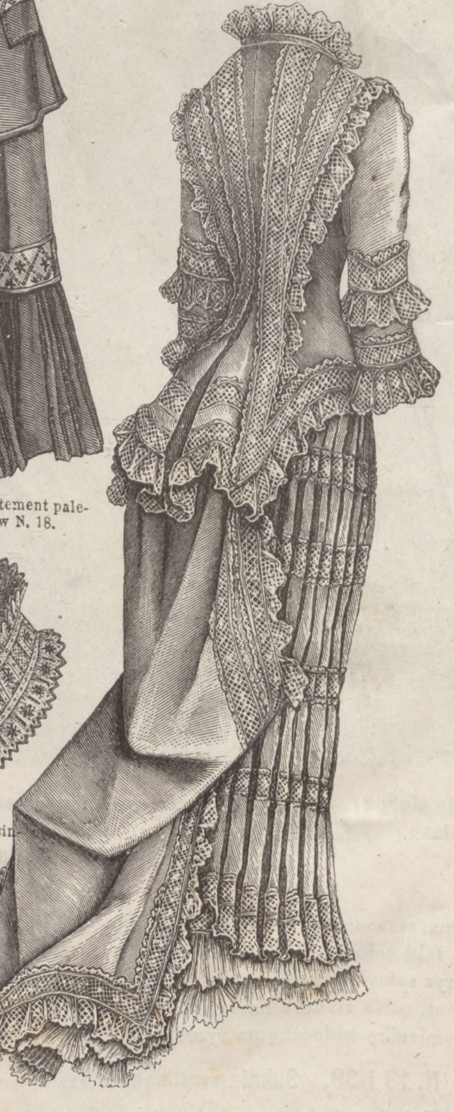


N. 40. Kołnierz marynarski dziecinny ozdobiony białym haftem.





N. 42. Kołnierzyk dziecinny ozdobiony haftem kolorowym i koronkowym. Krój N. XII Fig. 62.



N. 36. Suknia muślinowa z tuniką. Przód i forma tuniki ryc. 12.

N. 42. Poduszka pod nogi robotą wiązaną „Macrame.“ Próbka tła i frendzli ryc. 8—10 w N. 22.

N. 39. Suknia muślinowa z draperyą szalową, przód na ryc. 13.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 22 i 23.

N. I. Półwcięty paletocik. Rycina 30 w N. 22 i ryc. 32 w N. 23.

Fig. 1. Przód (A, G, H, I, O,) —✳—✳—✳—
Fig. 2. Boczek (A, B, C, D, E, F, ·) 1 założenie. ═○═○═
Fig. 3. Część fałdowana (C, D, F, *, :, ·, +) ·⊹— ·⊹— ·⊹—
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, G, H, N, *) ═×═×═×
Fig. 5. Rękaw (I, K, L, M)
Fig. 6. Połowa kołnierza (N, O) —·—·—·
Fig. 7. Kieszeń ⊢⊣ ⊢⊣ ⊢⊣

Fig. 1a — 7a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1—7.

Paletocik ten zwykłą półwcinaną formą może być odrobiony z tego co suknia materyału wełnianego lub do prania, albo z kaszmiru lub t. p. ciemnego czy jasnego materyału. Model który opisujemy przybrany był pekinem w paski; część fałdowana Fig. 3 wszywa się od C do D i od F do krzyżyka między boczki i plecy, składa się wraz z boczkiem w dwie fałdy podług oznaczonej linii i zachodzi na plecy od gwiazdki do dwukropka. Podwójny mankiet odznaczony jest linią na Fig. 5.

N. II. Stanik i tunika do sukni ryc. 35 w N-rze 23. Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 29 cent. w pasie.

Fig. 8. Przód (P, Q, V, W, X, :) 1 założenie ▬▬
Fig. 9. Boczek (P, Q, R, S)
Fig. 10. Pierwsza część pleców (R, S, T, W) •×•×•×•
Fig. 11. Druga część pleców (T, U, V, *) 1 założenie
Fig. 12. Rękaw (X, Y, Z, ·)
Fig. 13. Połowa szalowego kołnierza (*, :) ◡◠◡◠◡

Fig. 8a — 13a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 8—13.

Fig. 14. Wskazanie kroju połowy tuniki a) bryt boczny, b) połowa tylnego bryta.

Fig. 14.

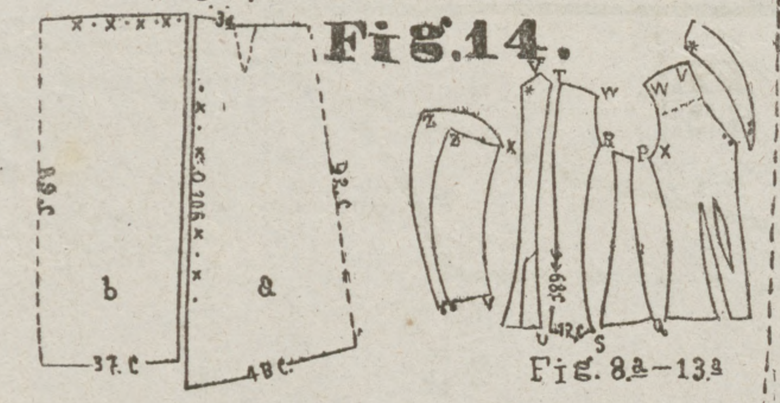


Fig. 8a—13a

Mocna niciana koronka 7 cent. szeroka i takaż wszywka 5 cent. szeroka, stanowią wraz z plisowaniem i 12 cent. szeroką falbaną układaną w kontrafałdy, przybranie sukni z perkalu gładkiego i w paski różowe z białym. Kamizelka na której stanik spięty jest tylko jedną kokardą może być z materyału gładkiego lub z piki białej; brzegi stanika oszyte plisą różową przykrytą białą wszywką. Fig. 14 podaje krój tuniki, podpiętej lekko z tyłu; bryty boczne a) rozchodzą się u góry na 12 cent., u dołu na 32 i są dopełnione plisowaniem składanem w fałdy głęboko zachodzące na siebie i podszyte od spodu listewką aby się nie rozsuwały. Wszywka dana w odstępach 10 cent.

N. III. Sukieneczka princesse z częścią kaftanikową, dla dziewczynki lat 4—6. Rycina 20—21 w N-rze 23.

Fig. 15. Przód z odznaczeniem części kaftanikowej (a, b, c, d, e, k) 1 zał.
Fig. 16. Połowa pleców (a, b, c, d, i, *) —○—○—
Fig. 17. Rękaw (e, f, g, h)
Fig. 18. Połowa marynarskiego kołnierza (i k) ○ ○ ○ ○ ○

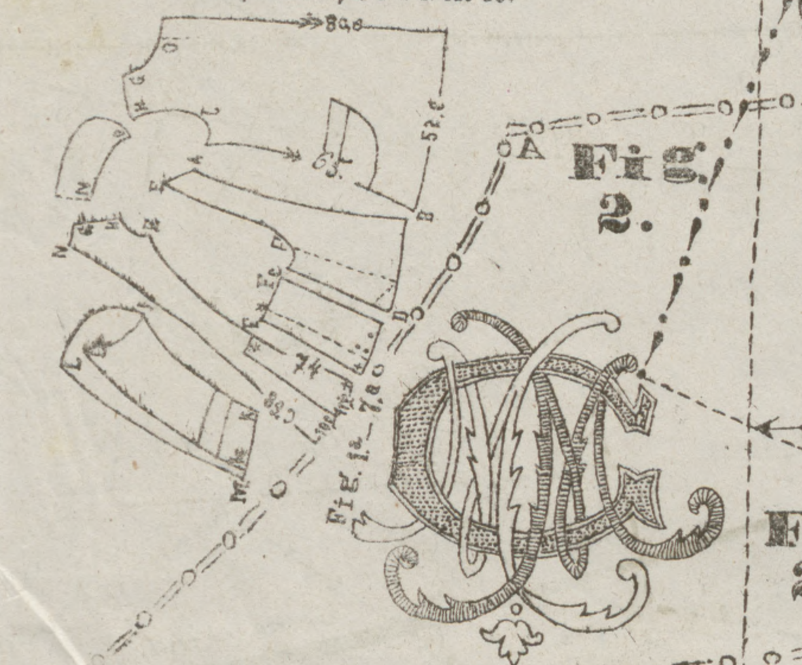
Sukieneczka zapięta w całej długości na guziczki kraje się podług Fig. 15 — 18, części kaftanikowe z przodu, wpuszczone na szwach bocznych i na ramionach krają się podług linii prostej na Fig. 15. Plecy u dołu wycięte w patki przydłużone są częścią fałdowaną 21 cent. długą a 78 szeroką. Rycina 20 przedstawia białą sukienkę zdobną wszywką i pliseczkami; na rycinie 21 widzimy sukienkę z szarego płótna ze szlaczkami haftowanemi białym; plisowanie z przodu sukienki jest 7 cent. szerokie.

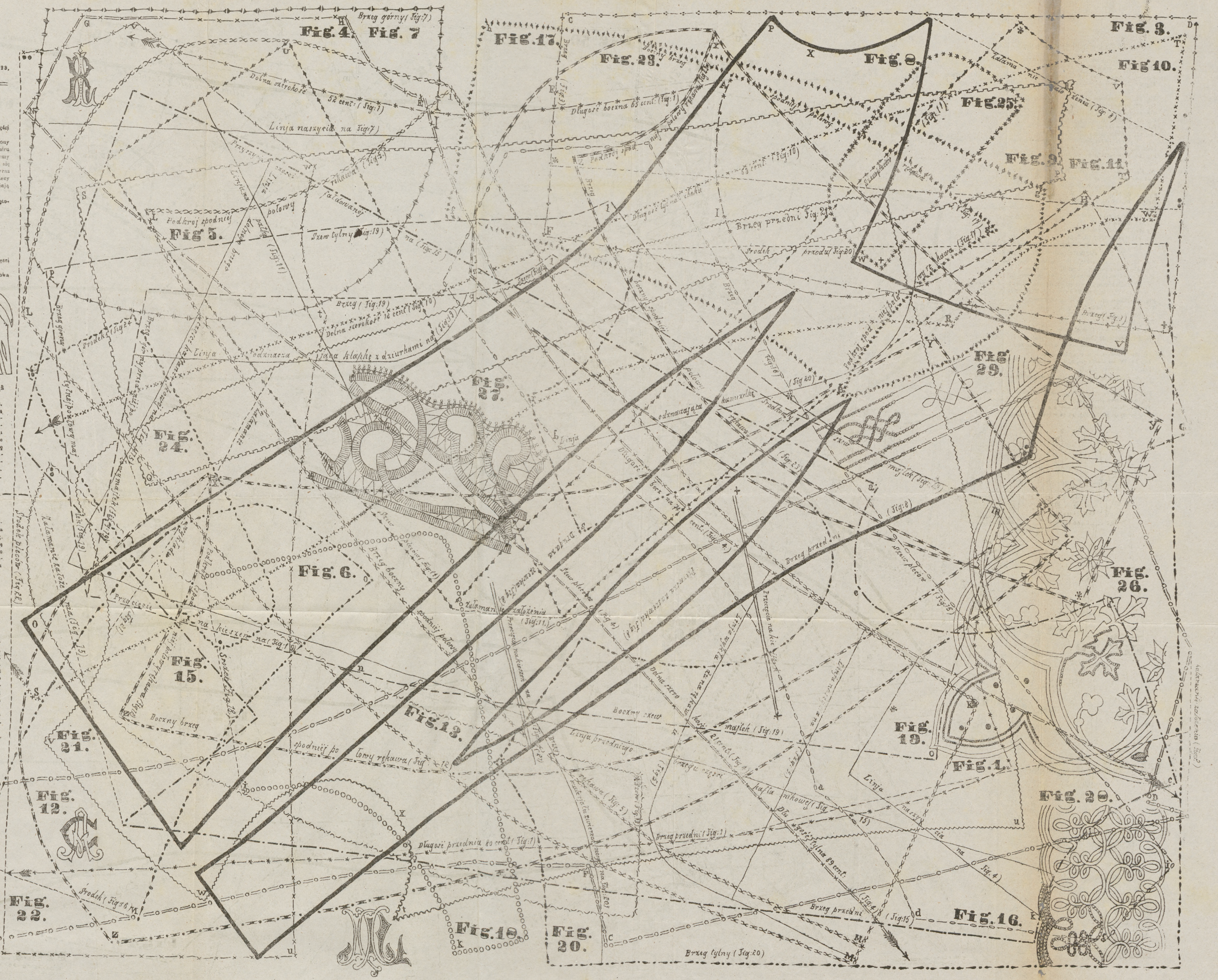
N. IV. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Rycina 22 w N-rze 23.

Fig. 19. Majtki (l m, n, o, p, q) ▬·▬·
Fig. 20. Połowa spodniego stanika (r, s) —·—
Fig. 21. Przód kaftanika (t, u, v, w, x, , +) ∼∼∼
Fig. 22 Połowa pleców (t, u, v, w, :) —×—×—
Fig. 23. Rękaw (x, y, z, *)
Fig. 24. Połowa kołnierza (:, ·)
Fig. 25. Klapka od kieszeni (+) ✳✳✳✳

Ubranie złożone z majteczek, staniczka spodniego i kurtki odrobione z letniego korciku, ma brzegi ozdobione na około stębnówką, guziczki okrągłe kamienne. Majtki krają się podług Fig. 19; brzeg tylnej połowy majtek trochę przyfałdowany wszyty w pasek 32 cent. długi, 3½ szeroki opatrzony dziurkami; przednia połowa majtek wszyta w Pasek 40 cent. długi; staniczek z białego szyrtyngu wziętego podwójnie, zapinany z tyłu na guziki, ma z przodu dodaną część kamizelkową a z tyłu tylko wązką listewkę z materyału zwierzchniego; u dołu przyszyte są guziczki odpowiednio do dziurek obrobionych w pasku od majtek. Kurtka ma przody podszyte listwą 12 cent. szeroką; kołnierz z podwójnie wziętego materyału wszyty od dwukropka do punktu; wykłady na rękawach 8 cent. szerokie, zastębnowane u góry.

Fig. 26. Deseń na szlak do prześcieradła ryc. 19 w N-rze 21.
Fig. 27. Część desenia na koronkę irlandzką do ryc. 3, 5 i 6 w N. 23.
Fig. 28. Szlak do sukni ryc. 36 i 37 w N-rze 23.
Fig. 29. Szlak do poduszki ryc. 4 w N-rze 23.





Dodatek z krojami i deseniami do N. 22 i 23.

N. V Vêtement à panier z długą kamizelką ryc. 1—2 w N-rze 22. Miara objętości przez połowę: 51 centym. w gorsie, 32 cent. w pasie.

- Fig. 30. Spodnia połowa przodu i boczek (A, B, C, G, H, *) 1 założ.
- Fig. 31. Zwierzchnia połowa przodu i boczek à panier (A, B, C, G H, I, N, *, :, ✕ 1 i · 1—✕ 3 i · 3) 1 założenie.
- Fig. 32. Pierwsza część pleców (C, D, E, F, H, ✕ 4 i · 4)
- Fig. 33. Druga część pleców (D, E, F, G, ✕ 5 i · 5 do ✕ 6 i · 6)
- Fig. 34. Rękaw (I, K, L, M)
- Fig. 35. Mankiet (K, ·, +) —✕—✕—
- Fig. 36. Ranwers (K, ·) + + + +
- Fig. 37. Ranwers boczny (N, :) — o — o —

Fig. 30a—37a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 32—37.

Fig. 38. Wskazanie kroju połowy draperyi: a) połowa przodu, b) połowa tylnego bryta.

N. VI. Stanik wycięty i draperya do sukni ryc. 29 w N-rze 22 i rycina 16 i 33 w N-rze 23. Miara objętości przez połowę: 50 cent. w gorsie, 30 w pasie.

- Fig. 39. Przód (O, P, U, W, V, Y, :)
- Fig. 40. Boczek (O, P, Q, R)
- Fig. 41. Pierwsza część pleców (Q, R, S, T, U, V, *)
- Fig. 42. Druga część pleców (S, T, Z, +)
- Fig. 43. Rękaw (W, X) ✕ • ✕ • ✕ •
- Fig. 44. Wykład przedni (Y, :, ✕ 7 i · 7) → → →
- Fig. 45. Wykład tylny (Z, *, ✕ 8 i · 8) o o o o
- Fig. 46 Wskazanie kroju draperyi: a) część przednia, b) część tylna.

N. VII. Fartuszek. Rycina 27 w N-rze 23.

- Fig. 47. Połowa fartuszka (a, b) 1 założenie
- Fig. 48 Połowa paska (a, b, c; d)
- Fig. 49. Połowa napierśnika (c, d)

N. VIII. Sukieneczka wycięta dla dziewczynki lat 3—5. Rycina 18 w N rze 23 i ryc. 16 w N-rze 22.

- Fig. 50. Plastron (e, f) ═✕═✕═
- Fig. 51. Połowa przodu (e, f, g, h, i, k, l) ═ o ═ o
- Fig. 52. Połowa pleców (g, h, i, k) — ✳ — ✳ —
- Fig. 53. Rękaw (g, *)
- Fig. 54. Kołnierz (i, l) ✳ ✳ ✳ ✳

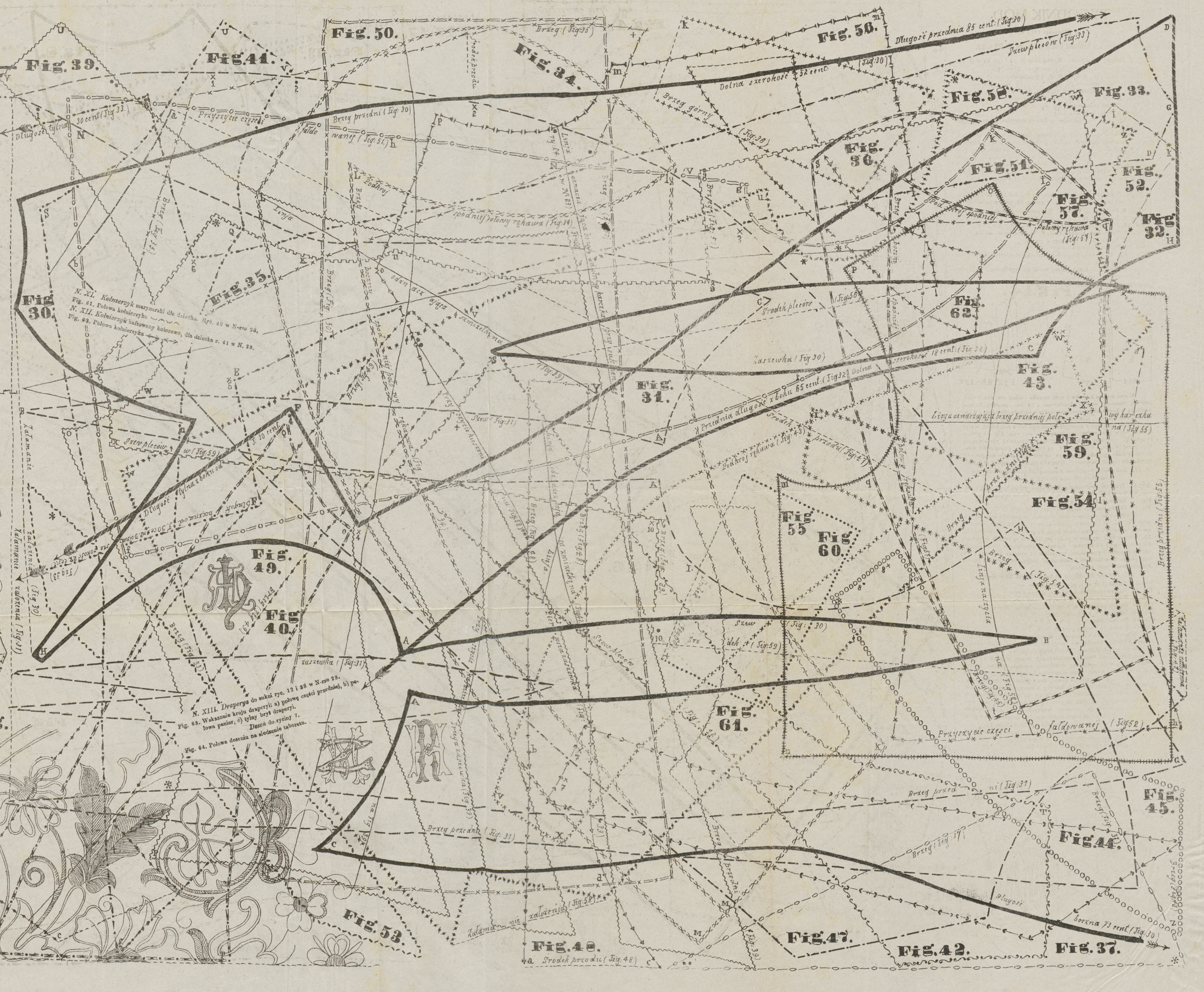
N. IX. Stanik do ubrania dla chłopczyka ryc. 25, z odznaczeniem karczka do ryc. 24 w N-rze 23.

- Fig. 55. Przód (m, n, o, p, q)
- Fig. 56. Połowa pleców (m, n, o, p)
- Fig. 57. Rękaw (q, r, s, t)

N. X. Płaszczyk z peleryną dla dziewczynki lat 3—5. Rycina 23 w N-rze 23.

- Fig. 58. Przód (u, v, z, w, *, :, +) 1 założenie
- Fig. 59. Połowa pleców (u, v, w, x, y, s, *, ✕ 9 i · 9 do ✕ 10 i · 10)
- Fig. 60. Połowa kieszonki (:, +) • • • • •

Krój peleryny podług Fig. 14 na arkuszu z krojami do N-u 18 i 19.





N. XI. Kołnierzyk marynarski dla dziecka. Ryc. 40 w N-rze 23.

Fig. 61. Połowa kołnierzyka

N. XII. Kołnierzyk haftowany kolorowo, dla dziecka r. 41 w N. 23.

Fig. 62. Połowa kołnierzyka

N. XIII. Draperya do sukni ryc. 12 i 38 w N-rze 23.

Fig. 63. Wskazanie kroju draperyi: a) połowę części przedniej, b) połowa panier, c) tylny bryt draperyi.

Deseń do ryciny 7.

Fig. 64. Połowa desenia na siedzenie taboretu.